OWOCE
dobrego
WYCHOWANIA.

z Rycinq.

(158)

80

Höfer del.

Steindr. v. E. Lambeck in Thorn.

Krysztofa Schmidta

Owoce dobrego wychowania

czyli

Dobre Dzieci.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
BIBLIOTEKA
GŁÓWNA
w Kielcach
80806

Przedmowa.

Przedmowa, która się w pierwszéj części owoców dobrego wychowania znajduje, służy także i do téj drugiéj części; bo i te powieści, lubo nie są w listach pisane, podobnéj jak owe są treści.

I w tych tu powieściach przedstawiają się przykłady rodziców, którzy dzieci swoje mądrą miłością wychowali, w ich sercach nadewszystko pobożność zaszczepiali, do modlitwy, pilności i wszystkiego dobrego ich zachęcali, a od wszystkiego złego ich zachować się starali; opisują się w nich dzieci, które rodziców serdecznie kochały, posłuszne im były i na których się najpiękniejsze owoce dobrego wychowania pokazały.

Droga podług uczonych rozpraw, reguł i przepisów jest podług dawnego spostrzeżenia bardzo długa i dla wielu za nadto cierniem zarosła; droga zaś przez przykłady jest nierównie krótsza i kwiatami mile usłana. Przykłady zazwyczaj są nauczające i oraz bawiące!

Dobre wychowanie ma największe na świecie znaczenie, i jedyną rzetelną wartość. Rodzice dzieciom nic lepszego dać nie mogą; wszystkie bowiem bogactwa w porównaniu z niém, bardzo są nikczemne i mało znaczące, i dzieciom bez dobrego wychowania nawet szkodliwe. Dzieci nic lepszego czynić nie mogą, jak ze szczęścia dobrego wychowania jak najwięcéj korzystać; najbiedniejsze nawet dziecko znajdzie w niém wielki skarb, na którym oczywiste błogosławieństwo Boskie spoczywa.

Oby się obecne powieści chociaż tylko w najmniejszéj części do tego przyczyniły.

Autor.

I. Anzelmo.

Jednego poranku zwiastującéj się wiosny, szedł drogą wijącą się nad brzegami morskiemi Anzelmo, szlacheckiego urodzenia młodzieniec szesnastoletni. Szedł ze Salerny, gdzie w ów czas najsławniejsze szkoły wyższe w całych Włoszech istniały, do domu, chcąc tu święta Wielkanocne na familijnym zamku w miłém towarzystwie swych rodziców święcić. Ziemia już okryta była wszelkiemi ozdobami wiosny, która się we Włoszech przecudnych zwykle miesiąc prędzéj zwiastuje, jak u nas; od wschodzącego słońca dziw nie morze jaśniało w świetle purpurowém. Serce Anzelma napełnione było pobożnemi uczuciami, mimowolnie więc rzucił się na kolana, aby Stwórcy wszystkich tych cudów — słońca, nieba, ziemi i morza, oddać cześć winną. Długo Anzelmo tak klęczał, wstał nareszcie i spiesznym krokiem udał się w dalszą drogę. Wspomniał na radość, jakiéj doznać miał przy witaniu się z ukochanymi rodzicami. Jego rodzice z da-

wnych pochodzili rodzin szlacheckich; lecz piękne i obszerne ich dobra nieprzyjaciel w długoletniéj wojnie spustoszył, a więc obecne dochody z dóbr były dosyć szczupłe, lecz co tylko dla syna czynić mogli, a co więcéj jest warto, niż wszystkie skarby świata, to dla niego czynili, — to jest dali mu dobre wychowanie. Od dzieciństwa uczyli go Pana Boga poznawać i miłować, w Nim nadzieję i ufność swoją pokładać, i w Nim jedynie całéj swéj szczęśliwości szukać. Kazali bogato utalentowanego młodzieńca wszystkiego uczyć, co tylko dla jego stanu potrzebném i przystojném być uważali. Posłali go na uniwersytet, i nie jednéj musieli sobie odmówić wygody, aby on tylko podług stanu swego tam się mógł uczyć. Z tego względu unikał wszystkich niepotrzebnych wydatków, żył bardzo oszczędnie i skromnie, i nie mniewał żadnego udziału w zabawach kosztownych, do których go młodzież szlachecka uniwersytetu często zapraszała. Nie taił się też bynajmniéj z tém, że nie miał tyle pieniędzy w kassie swojéj, jak oni, lecz owszem miło mu było, iż tak słuszną miał wymówkę, aby czas jedynie naukom mógł poświęcać. Aby rodziców żadnego nie nabawić wydatku, nie najmował sobie na tę podróż ani pojazdu, ani konia, lecz szedł pieszo, i jako zwawy młodzieniec znajdował wielką przyjemność w téj podróży.

Droga wiła się teraz między gęstym liściem okrytemi krzakami wawrzynowemi, i skręciła się nagle około skały. Nagle więc

ujrzał okręt, który tuż przy brzegu stał na kotwicach. Kilku mężczyzn, z twarzami żółtoczarnawéj barwy, i w obcą dziwną odzież ubrani, nabierali wodę ze źródła, które z pod skały wytryskało. Byli to rozbójnicy morscy z Algieru. Skoro tylko ci surowi ludzie delikatnego młodzieńca spostrzegli, napadli natychmiast na niego, jak srogie tygrysy na niewinnego baranka, porwali go i zawlekli na okręt, a obdarłszy go z jego pieknego ubioru, przywdziali na niego grubą odzież, jaką zwykle noszą niewolnicy, i nakryli jego głowę nizkim z sitowia uplecionym kapeluszem, nogi i ręce jego okuli w kajdany, i przyłączyli go do innych chrześcian na okręcie, których już na morzu i lądzie byli wprzód w niewolę zabrali. Ciż chrześcianie przywitali szlachetnego i miłego młodzieńca żałośném narzekaniem, i nie jeden z nich zapłakał nad jego i swoim losem nieszczęśliwym.

Gdy Anzelmo z pierwszego odetchnął przelęknienia, złożył w kajdany okute ręce, i wzniósł swój wzrok ku niebu. Jego uczucia były tak żywe, iż na głos się modlił: „O dobry, wielki i wszechmocny Boże, któryś niebo, ziemię i morze stworzył! Tyś to nieszczęście na mnie przypuścił! Udziel mi łaski Twojéj, abym się z pokorą pod Twoję poddał wolę, w tém doświadczeniu wytrwał aż do końca, i w obliczu Twojém usprawiedliwionym znaleziony został. Pocieszmoich kochanych rodziców i moje rodzieństwo? Ach moi drodzy rodzice oczekują mego przybycia jutro na wieczór; wyjdą oni

przeciwko mnie z moim małym bratem i moją jeszcze młodszą siostrzyczką na przywitanie. O jakiż kłopot mieć będą, gdy nie przybędę, wiedzieć bowiem nie mogą, co mnie złego spotkało, a może wszystkie ich zabiegi nadaremne będą, aby się o losie, który mnie spotkał, dowiedzieć. Lecz mam tę nadzieję w Tobie mój dobry Ojcze Niebieski, że mnie znów na łono mych kochanych rodziców zaprowadzisz; że mój i ich smutek znów zamienisz w radość! Ty nie opuszczasz żadnego, który nadzieję swoję pokłada w Tobie. Skały zachwiać się mogą, i góry w morzu się zatopić, lecz Twoja miłość i wierność na wieki trwać będą.

Jego pobożne zaufanie w Panu Bogu, ujęło mocno serca spółwięźniów, którzy po większéj części także byli Włochami, i jego modlitwę słyszeli i dobrze zrozumieli. Powzięli zaufanie do tego pobożnego młodzieńca, zapytali go się o jego stan, z kąd szedł, i do kąd iść miał zamiar, i opowiadali mu wzajemnie swoje przypadki. Jeden młody sędzia, który familią Anzelma dobrze znał, okazywał mu wielki szacunek. Ten szlachetny i bardzo edukowany mąż opowiadał mu zalany łzami, jak on będąc biedną sierotą, wielki niedostatek cierpiąc, szkoły ukończył, i jak nie dawno dopiero urząd dostał, i jak właśnie na okręcie po swoją przyszłą żonę chciał jechać. Lecz zamiast miłego związku, rzekł, który mnie na zawsze z nią miał połączyć, muszę teraz te nieznośne kajdany nosić!“ Młody je-

den majtek żałował tylko swoich biednych rodziców, których swojém niebezpiecznem i uciążliwém powołaniem dotąd żywił. — „Ach Boże, rzekł, teraz więc na największy niedostatek, na głód i srogi kłopot są wystawieni!“ Jeden rybak, już cokolwiek podeszły w wieku człowiek, najsmutniejszy był ze wszystkich. W ostatnim kąciku okrętu spokojnie siedział zatopiony w myślach. Podparłszy sobie głowę na ręku, rzęsiste łzy mu płynęły po twarzy. Miał pięcioro małych dzieci, i był bardzo zafrasowany, jak im się teraz i matce ich cnotliwéj powodzić będzie, Anżelmo przystąpił do niego, ujął go mile za rękę, rozmawiał z nim o świętéj Opatrzności Boskiéj, i o tém, że Pan Bóg wszystkie sprawy nasze ku dobremu prowadzi, i że się Pan Bóg nie nadaremno mianuje ojcem wdów i sierot. Nietylko ten człowiek, lecz wszyscy więźniowie przysłuchiwali mu się z największą pobożnością. Spojrzenie na tego szlacheckiego młodzieńca, jego mądre rozmowy, uprzejmość, którą dla wszystkich okazywał, jego wesołość w kajdanach, rozweseliła po trosze wszystkich, i nowego dała im męstwa. Smutny rybak wstał i rzekł: „Pan Bóg nam tego miłego młodzieńca tu przysłał, aby nas pocieszył. Będziemy równie jak i on naszę nadzieję w Bogu pokładali. Spodziewam się więc, iż nam nasze kajdany nakoniec na dobre wyjdą!“

Młody majtek zaśpiewał piekną pieśń majtków, która dla miłéj i prostéj melodyi tak sławną jest; a ponieważ wszyscy więź-

niowie na okręcie byli chrześcianinami, wtenczas wszyscy jednym głosem zaśpiewali:

„Pod twoję obronę uciekami się,
Święta Boża Rodzicielko!
Naszemi prośbami nie racz
Gardzić w potrzebach naszych;
Ale od wszelakich złych przygód,
Racz nas zawsze wybawiać.
Panno chwalebna i błogosławiona!
O Pani! o Pani! o Pani nasza!
Orędowniczko nasza!
Pośredniczko nasza!
Pocieszycielko nasza!
Z Synem twoim nas pojednaj,
Synowi twojemu nas polecaj,
Synowi twojemu nas oddawaj.
O Pani! o Pani! o Pani nasza!
Orędowniczko nasza!
Pośredniczko nasza!
Pocieszycielko nasza!“

2. Niewolnik.

Z boleścią patrzał Anzelmo na swoję ojczyznę, wesołe Włochy, od któréj się na żaglującym okręcie coraz bardziéj oddalał; góry i wzgórza, wieże i pałace coraz niższemi się być wydawały, aż mu nakoniec zupełnie z ócz znikły. Nie było już niczego więcéj widać, jak niebo i morze.

Rozbójnicy jeszcze kilka dni jeździli w różne strony po morzu, aby chrześciańskie okręty napotkać i zdobyć. Nie natrafili już żadnego; ale z wielkiém ich przelęknieniem ujrzeli w wielkiém oddaleniu białe żagle wielkiego okrętu wojennego, który ich ścigał. Chrześciańscy niewolnicy cieszyli się potajemnie nadzieją, iż z ciężkiéj niewoli wybawieni zostaną. Lecz rozbójnicy przynaglili ich batami jąć się wiosel, sami też z natężeniem wszystkich sił robili wiosłami i wszystkie rozpuścili żagle. Okręt wojenny przybliżył się wprawdzie ku nim, ale jednak nie dosyć spiesznie żeglował, aby ich dogonić. Noc nastąpiła, chrześcianie wzdychali do Boga, bo ich nadzieja zniknęła. Rozbójnicy weselili się w pewnéj nadziei, że się szczęśliwie wymkną.

Kiedy ranne wstały zorze i niebo i morze w ich świetle tleć się zdawały, nic zdrzeć nie było od owego okrętu wojennego. Anzelmo, który już mniemał, że jego modlitwa wysłuchaną została, bardzo się zatrwożył i niemógł się już dłużéj od łez wstrzymać. Lecz wnet się znów pomiarkował i rzekł do swoich spółwięźniów: „Lubo też Pan Bóg naszych spólnych modlitw natychmiast nie wysłuchał, to one jednak bez skutku nie zostaną. On jedynie wie stósowną naznaczyć godzinę; On też mnie i Was moi nieszczęśliwi towarzysze, swego czasu jeszcze wybawi z rąk tych niewiernych dręczycieli.

Nim jeszcze godzina upłynęła, ujrzeli wielkie, promieniami rannego słońca przecudnie oświecone miasto Algier, jak gdyby przed ich oczami z morza wyrastało. Ponieważ to miasto tak zbudowane jest przy górze, iż jedna równoległa ulica od drugiéj wyżéj leży, dla tego rząd po rzędzie wynurzał się z wody. Kościoły tureckie, meczetami zwane, na których zamiast krzyża świętego półksiężyce, znaki tureckie w blasku słońca jaśniały, uczyniły na pobożnego Anzelma smutne wrażenie.

Okręt do brzegu zawinął, więźniów wylądowali, i po krótkiém wytchnieniu zaprowadzili ich po ciasnych i brudnych ulicach miasta na wielki rynek. Tu ich, jak u nas bydło na targowiskach, wystawili na widowisko i przedaż. Najprzód zbiegła się gromada najpodlejszéj cholоty, oglądała uwięznionych chrześcian i szydziła z nich głośnymi śmiechami i najordynarniejszemi przezwiskami. Po trosze zgromadzili się też w rynku majętniejsi mieszkańcy miasta. Przeszli rzędy więźniów i oględywali każdego z osobna, jak konie, które kto chce kupić. Na rynku leżały wielkie kamienie i belki w pogotowiu, na których moc niewolników doświadczać zwykli, których przedać zamierzali. Turcy rozkazali im je ze ziemi podnieść i nosić, i targowali się potém bardzo żywo o summę kupna. Nie jeden handel zawarty został. Młodego sędziego, majtka i jeszcze wielu innych rozbójnicy za wysokie ceny sprzedali. Z Anzelma naśmiewano się, ponieważ żadnego z tych

ciężkich kamieni podnieść nie był wstanie. Kupcy uważali tego delikatnego młodzieńca za słabego do ciężkich robót niewolniczych, i z pogardą przechodzili koło niego.

O podal stał stary żyd, mający pełno zmarczków na twarzy i przypatrywał się, jak się wydawało bardzo obojętnie przedawaniu niewolników. Był zupełnie czarno ubrany, miał bieluteńką brodę, i trzyrogaty czyli stósowany kapelusz na głowie. Kiedy już wszyscy, oprócz Anzelma przedani byli, przystąpił bliżéj, wziął okulary, oglądywał go potrząsając często głową, kazał sobie ręce pokazać, i ganił je, że tak miękkie i do pracy niezdatne były. „Aleś się przecie czegoś nauczył?“ zapytał go się żyd po włosku. „Powiedz mi, co umiesz.“ Anzelmo w tém położeniu, w którém się właśnie znajdował i które sobie ulżyć pragnął, nie uważał za potrzebę taić się ze swymi talentami i swoją umiejętnością. Powiedział więc, że się szczególnie w pisaniu ćwiczył i że we francuzkim i włoskim języku potrafi listy pisać. „Hym, hym, mruczał sobie żyd pod nosem; toć jest coś; ale cóż więcéj umiesz?“ Azelmo opowiedział, iż także rozumnie po łacinie i po grecku. „Aj waj, rzekł żyd, to nic dla Turków; takich towarów tu w kraju potrzebować nie możemy. Czy już nic więcéj nie umiesz?“ Anzelmo powiedział, że umie śpiewać i na lutni grać. „Szkoda, rzekł żyd, że tu lutni nie mamy. Ale zaśpiewaj ładną piosneczkę i pokaż co umiesz.“ Anzelmo, który nadzwyczajnie przyjemny miał głos i wybornie

umiał śpiewać, uczynił to, czego od niego żyd żądał. „No, rzekł żyd, to nie źle.“ Podał trzy dukaty za Anzelma, i przyłożył po długim handlu jeszcze siedm. Gdy przedawający jeszcze więcéj żądali, i jeszcze na to nie przystawali, wzdrygnął ramionami, odwrócił się i odchodził. Lecz zawołali go na powrót, i dali mu szlachetnego młodzieńca za dziesięć dukatów. Bolało to Anzelma, że w porównaniu z innymi niewolnikami, za tak niską cenę przedany został. Ale się uśmierzył tą myślą: „Za kilka śrebrników przedany został Józef egipski, i nawet pan Jezus sam. Przedaż Józefa wyszła mu nakoniec i wielu innym ludziom na dobre. Haniebne przedanie Jezusa Chrystusa, cały świat zbawiło. Może i moje przedanie za pomocą Boską na dobre wyjdzie.“

Żyd imieniem Jussuf był kupcem i trudnił się handlem niewolników tylko trafunkowo. Kupnem niewolników, których tylko do podłych robót używać było można, wcale się nie zajmował. Lecz umiał zręcznych młodych ludzi wyszukiwać, których do ważniejszych usług potrzebować można, a do czego potrzeba większego dowcipu i większéj biegłości handlowéj. Kupował też zazwyczaj bardzo tanio, i przedawał bardzo drogo. Na Anzelmie spodziewał się także cokolwiek zarobić.

Gdy z Anzelmem do domu przybył, rzekł do swego buchhaltera: „Szlachetna, delikatna postać tego pięknego młodzieńca; rozum, który mu z ócz wyczytać można, przystojność, która mimo niewolniczéj odzie-

ży, wyższe jego urodzenie wydaje, czynią mi nadzieję, iż go za posługacza lub za pazia jakiemu państwu z korzyścią będę mógł przedać.“

Jussuf rozkazał, aby Anzelma do kupca handlującego lutniami zaprowadzili. „Wybierz sobie tam, rzekł do niego, najzgrabniejszą i najprzyjemniéj brzmiącą lutnią. A ty, przykazał służącemu, który Anzelma tam zaprowadzić musiał, ty się targuj do ostatniego grosza.“ Anzelmo przyniósł wyborną lutnią, a Jussuf rozkazał mu, grać i śpiewać, mówiąc: „Więc teraz graj i śpiewaj.“

Anzelmo obrał sobie wiersze z psalmów, których wiele umiał na pamięć. On śpiewał i grał:

Siedząc po niskich brzegach babilońskiéj wody,
A na piekne syońskie wspominając grody:
Co nam inszego czynić: tylko płakać smutnie,
Powieszawszy po wierzbach niepotrzebne lutnie.

Lecz poganin niebaczny w téj naszéj żałobie,
Naszą piosnkę syońską każe śpiewać sobie.
Przebóg! jako to ma być, aby pieśni Pańskich
Głos kiedy był słyszany w krainach pogańskich.

Jeżlibym Cię zapomniał, o kraino święta!
Niech moja swéj nauki ręka zapamięta:
Niechaj mi język uschnie, jeżelibym kiedy,
Spiewał co wesołego o Tobie wśród biedy!

Pomnij wszechmocny Panie! co nam wyrządzali
Edomczycy; jako w nasz ciężki dzień wołali:
„Zagubcie ten zły naród, ogniem miasto spalcie,
A ich mury do gruntu samego rozwalcie.“

Ale i ty Babilon, strzeż dobrze swéj głowy.
Bo już wisi upadek nad tobą gotowy.
Szczęśliwy, któryć za nas odmierzy twe winy,
A o skałę roztrąci twe nieszczęsne syny.

Jussufa te wiersze bardzo wzruszyły i łzy stanęły mu w oczach. „To pięknie, rzekł, to jest bardzo pięknie! To idzie do serca. Niespodziewałem się po tobie, abyś miał tak obeznanym być z naszemi pieśniami. Teraz mi tym miléj jest, żem cię kupił. Nawet twój sposób śpiewania, ile ja sądzić mogę, jest bardzo dobry. On cię będzie rekomendował, i z tego powodu pewno dobre miejsce znajdziesz! — A mnie, pomyślał sobie niezawodnie, wiele zysku!“

Jussuf nie zaraz przedał Anzelma. — Chciał go wprzód, jak już z wielu innymi niewolnikami był uczynił, z obyczajami

Turków obznajomić, a szczególnie z językiem krajowym, aby się ze swoim przyszłym państwem mógł rozmówić, ich rozkazy zrozumieć i takowe ściśle wykonać. Jussuf sam go uczył języka tureckiego, i niemógł się wydziwić z jego postępów.

Kto z Jussufem tylko w interessach handlowych miał do czynienia, uważał go za bardzo skąpego człowieka, który wszystko do ostatniego grosza wyciągał. — Ale w innym względzie bynajmniéj nie był sknerą, lecz przeciwnie hojnym i dobroczynnym. Potrawy, które młodemu Anzelmowi kazał dawać, były, mając wzgląd na kraj bardzo dobre; zazwyczaj dostawał ryżu z skopowiną, daktyle i oliwki, a niekiedy też kawał gęsi pieczonéj. Oczywiście i w tém szukał Jussuf własnego zysku. Bo on sobie pomyślał: „Ten młodzik nie powinien swéj delikatności i dobréj tuszy stracić, aby być tém przedaniejszym.“ Komórka, którą Jussuf Anzelmowi na mieszkanie przeznaczył, była jedna z najlepszych w całym domu; lecz ponieważ tylko przeznaczona była dla niewolników, była równo posępna i smutna. Przykro było dla szlacheckiego młodzieńca do niéj się przyzwyczaić, ponieważ dotąd zawsze tylko w jasnych, wesołych i pięknie wymeblowanych pokojach zwyczajny był mieszkać. Gdy bardzo pięknie pisał, musiał mnóstwo rachunków i listów pisywać, i żałował czasu, któregoby na uniwersytecie do pożytecznych nauk był mógł lepiéj użyć. Często musiał po całym dniu towary w skrzynie pakować, albo z dużych paków

wyjmować, przy których zatrudnieniach często się dobrze spocił. I tak wiele innych jeszcze było rzeczy, które mu nie mało przykrości sprawiały. Lecz on wszystkie te przykrości chętnie od Pana Boga przyjmował, i z wielką cierpliwością znosił. Zawsze był kontent i wesoły jak anioł Boży.

3. Familia Turecka.

Gdy cały rok był upłynął, przyszedł Jussuf pewnego dnia bardzo ukontentowany do domu, a pomrukując i trąc sobie ręce, rzekł do Anzelma: „Jest ci co powinszować; znalazłem dla Ciebie wyborne miejsce. Nie wątpię, iż się szczęśliwym sądzić będziesz, i że z ciebie będą kontenci.“

Dał mu bardzo cienkie i takich kolorów ubiory, które szczególnie w oczy wpadały, a kazawszy mu wziąć swoję lutnią, zaprowadził go do jednego domu, który do pałacu był podobny. Służący wybornie ubrany, zameldował ich panu swemu, a powróciwszy natychmiast, wprowadził ich do przepysznego pokoju.

Pan domu, Turek okazałéj postaci, czerstwy i zdrowy na twarzy, siedział w świetnych strojach na bogato haftowanéj sofie,

przed którą rozpostarty był paradny dywan. Palił z pięknéj, dwa łokcie długi cybuch mającéj fajki, mile pachnący tytuń; obok niego stała na nizkim stoliku we wybornéj porcelanie kawa.

„Powiedziano mi, rzekł Turek do Anzelma, że pięknie śpiewasz i dobrze grasz na lutni. Pokaż więc twoję sztukę. Anzelmo odpowiedział skromnie: „W języku tego kraju nie umiem nic śpiewać. Ja tylko włoskie śpiewy umiem. „Też dobrze, rzekł Turek, śpiewaj i graj, co najlepiéj umiesz.“ Anzelmo przeniesiony z umiarkowanych Włoch do gorącéj Afryki, i że między więźniami w Algierze też ludzi z dalekiego pasu zimnego był poznał, więc zaśpiewał:

„Prawo to święte na ziemi i niebie:
Kochaj bliźniego, jak samego siebie.
Gdy Bóg stanowił dał się ludziom dociec,
Że dla swych dzieci napisał go Ojciec.

Niech mnie jako chce mój bliźni szkaluje.
Niechaj mnie krzywdzi, niech mnie prześladuje,
Oddać wet za wet, nacóżbym się silił?
On bratem moim, oto się pomilił.

Niewinność moja, jeżli przy mnie stanie,
Z wiatrem się ludzkie rozejdzie gadanie!
A zamiast swarów, wzajemnéj przygany,
Daruję bliźnim i będę kochany.

Pod jednym żyje naród ludzki Panem
On się z każdego nas zatrudnia stanem,
Daje nam barwę, z jego stołu jemy, ...
Czeladko pańska, za cóż się kłócimy.

Kochajcie Boga nad wszystko dobrego,
Kochajcie bliźnich jak siebie samego.
Te dwa naczelne Boskie przykazania,
Postanawiajmy pełnić do skonania."

Turek uważnie się przysłuchiwał, palił fajkę z wielkim ukontentowaniem, przykiwnął czasem głową i na końcu rzekł do Anzelma: „Brawo! nad moje oczekiwanie dobrześ się popisał. Spodziewam się, że i w innych wiadomościach, które mi Jussuf zachwalał, równie doskonałym będziesz." Zadał mu jeszcze kilka pytań, i zadowolniony był odpowiedziami Anzelma. Dobrze, rzekł Turek, ja ci wierzę. Nie wątpię nawet o tém, że istotnie owe wiadomości posiadasz, których żądam.

Wstał i poszedł do pobocznego pokoju, którego drzwi na pół otwarte były. Było słychać, iż z kimsiś rozmawiał, lecz nie było można rozumieć, o czém rozmawiali. Po chwili wrócił się, i naliczył ucieszonemu Jussufowi sto dukatów na stole. Jussuf uśmiechając się, głaskał sobie ciągle brodę, dopóki Turek pieniądze na stole liczył, i zgarnął z największém ukontentowaniem złoto w skórzany worek. „Jaśnie Wielmożny Pan będzie kontent z tego handlu, rzekł Jussuf do Turka, a ty Anzelmie, dobrém sprawowaniem się, z pewnością pokażesz, że

tyle złota wart jesteś. Adju. Bóg moich ojców niech was błogosławi!“

Turek, którego teraz Anzelmo był niewolnikiem, nazywał się Achmed, był on bardzo bogatym kupcem, który bardzo znaczne związki handlowe w dalekich krajach utrzymywał i rozmaite towary z tamtąd sprowadzał; miał też i znakomity urząd w mieście. Powiedział, iż Anzelma szczególnie do korespondencyi z Francyą i Włochami potrzebować będzie, i wymienił mu także inne jeszcze zatrudnienia, które w przyszłości miał w domu codziennie wykonywać. Tak mianowicie musiał codziennie do stołu usługiwać. Gdy właśnie już nadchodziła godzina obiadowa, kazał mu zaraz Achmed stół nakryć, co też Anzelmo z największą wykonał zręcznością.

Do stołu zasiadły tylko cztery osoby, Achmed, jego żona Fatyma i dwoje dzieci, synek dziesięcioletni i córeczka sześcioletnia, Żona, która wualem zasłoniona twarz przy obiedzie odsłoniła, była przecudnéj piękności. Dzieci, które się zdawały bardzo grzecznemi i miłemi być, przywitały uprzejmie Anzelma i zapatrywały się ciekawie na niego. Anzelmo sprawował swoję służbę posługacza z szczególniejszą zgrabnością i zręcznością; każde skinienie ręki zrozumiał, a nawet nie jedno wprzód wykonał nim mu jeszcze to czynić rozkazano. Po obiedzie rzekł Achmed: „Tak dobrze, szybko i zwinnie jeszcze nam nigdy nie usługiwano przy stole.“

Pani w pobliskim pokoju słyszała, jak przed obiadem Anzelmo śpiewał i grał na lutni.

„Bardzo pięknie śpiewasz i grasz, rzekła, chciałabym też słyszeć którą ładną piosneczkę od ciebie. Anzelmo poszedł po swoję lutnią, a ponieważ z czułością miłość rodziców do dzieci i miłość tych dzieci do rodziców był spostrzegł, więc śpiewał po włosku:

Gdziekolwiek dobrzy rodzice
Dzieci swe szczerze kochają,
A wzajem dzieci rodzice
Miłém gronem otaczają;
Tam błogosławieństwo Boskie
Spoczywa i szczęście ludzkie.

Żaden ojciec, żadna matka
Nigdy, jak on nie kochali:
I jak nas Pan Bóg kocha
Nigdy nie będą kochali.
Miłość, co się w sercach rodzi,
Tylko od Boga pochodzi.

Od rodziców jest godniejszym
Bóg naszego uwielbienia!
Czcijcie Go sercem najszczerszém,
Śpiewajcie Mu wasze pienia.
Człowiek będzie do anioła,
A świat podobny do nieba.

Pan i pani przysłuchiwali się z wielkiém ukontentowaniem, a dzieci ani pojąć się z radości nie mogły. „Ta piosneczka jest

przecudna, rzekł chłopczyk; tylko szkoda, iż ani słowa nie można zrozumieć!“ „Jabym się też chciała nauczyć tak pięknie śpiewać,“ rzekła panienka. „A ja, dodał jeszcze chłopczyk, nauczę się grać na lutni.“ „O, to zapewno jest bardzo trudno. Śpiewanie jest łatwiejsze; ja już umiem cokolwiek śpiewać.“ Zaczęła więc swoim delikatnym głosem turecką piosneczkę nócić. „Dobrze, dobrze, rzekł ojciec; Anzelmo was będzie uczył.“ Dzieci cieszyły się, a Anzelmo zapewniał, że to chętnie uczyni. Dzieci go wkrótce bardzo polubiły. To się rodzicom bardzo spodobało i zjednało Anzelmowi ich ukontentowanie i szczególniejsze zaufanie.

4. Lew.

Po kilku tygodniach pojechał Achmed z swoją familią na wieś. Anzelmo pojechał z nimi. Ta piekna wieś leżała daleko od morza w bliskości gór. Achmed miał tu wielki dom i prześliczny ogród, który do raju był podobny. Całe zagony rozmaitych najpiękniejszych kwiatów różnokolorowych, wystawiały przecudny widok; na długich

rzędach drzew wisiały złociste pomarańcze, granatowe jabłka, figi i inne wyborne owoce. Za ogrodem wychodziło się w plantacye morwowe, na których się jedwabniki bez pomocy ludzkiéj same żywiły, i swoje uprzędzone orzechy jak złote owoce na gałęziach pozawieszały. Były tam także macice winne, które się wysoko pięły na wysokie drzewa, i od jednego drzewa do drugiego się ciągnąc, najprzedniejsze nosiły winogrona, tak, że się zdawało; jakby te dzikie drzewa tak wyborne frukta wydawały. Cokolwiek daléj, znajdował sie cały las samych drzew oliwnych, które do jego folwarku należały. Kilku niewolników zajmowało się właśnie obieraniem oliwek, z których najlepszą oliwę wytłaczali.

Achmed poszedł tam wieczorem, gdy się upał dnia przeszłego trochę ochłodził, ze swoją żoną, z dziećmi i z Anzelmem, robotników zobaczyć. Słońce już było zaszło. Znużeni robotnicy siedzieli w bliskości oliwnych drzew przy swojéj kolacyi. W oddaleniu kilka kroków od nich dogorywał ogień, przy którym sobie swoję kolacyą byli ugotowali, lecz teraz już zupełnie był wygasł, tylko kilka głowien żarzyło się w popiele. Achmed i Fatyma poszli jeszcze cokolwiek daléj, aby sobie oglądać góry, których wierzchołki i drzewa cedrowe na nich jeszcze od żorz wieczornych oświecone były, lubo się już w dolinie zciemniało. Dzieci biegały po zielonéj równinie. Chłopczyk przysłuchiwał się ptakowi, który właśnie w krzewinie swój śpiew wieczorny śpiewał.

Panienka zbliżała się do krzaka, około którego kilka robaczków latało, które daleko jaśniejsze i piękniejsze były, jak robaczki Świętojańskie, czyli błyszczaki, a dziecku zdawały się być latającemi dyamentami. — W tém nagle przyleciał z gór okropny lew z najeżoną grzywą i szeroko otwartemi paszczękami. Wszyscy przestraszeni i jak trupi bledzi uciekali do domu i szukali schronienia. Mała Almira nie mogła tak prędko uciekać, i została w tyle, a srogie zwierzę drapieżne już bardzo blisko niéj było. Wtenczas porwał Anzelmo odważnie kawał głowni zarzącéj się na ognisku, zaczął nią machać, tak iż skry ognia z niéj latały i jasno się palić zaczęła. Tak odważnie szedł przeciw srogiemu zwierzęciu drapieżnemu, wkoło śmigając głownią. Wiedział on bowiem, że się takie zwierzęta ognia boją. Lew się zatrwożył, stanął, potrząsł groźnie grzywą, wydał ryk straszliwy, który się podobnie do grzmotu po górach rozlegał; ale jednak cofał się tylko wolnym krokiem, patrząc iskrzącemi oczyma na odważnego młodzieńca. Srogi lew jeszcze raz stanął, ryczał jeszcze okropniéj i stał jakby do skoku gotowy. — Anzelmo nie dał się ustraszyć, i zuchwale szedł z swoją ognistą bronią ku niemu. Lew się znów umykał i do trzeciego razu stanął, lecz nakoniec zwrócił się i ku górom uciekł.

Almira tymczasem dogoniła matkę, która się na krzyk dziecka była obróciła, ale od strachu zdrętwiała; siliła się naprożno, dziecku pospieszyć na ratunek, lubo mu niebyła mogła nic pomoc. Almira omdlała pa-

dła matce na łono. Matka przycisnąwszy dziecko do piersi oblewała bladą twarz jego gorącemi łzami. Ojciec z wdzięcznością podniósł oczy ku niebu, i uścisnął potém z największą czułością Anzelma. Mały Aladyn głaskał mile twarz swéj siostry i rzekł: „Bogu chwała, żeś uszła ze życiem. Gdyby nie Anzelmo, byłby cię lew pożarł, a jabym był od żalu umarł!“

Ojciec i matka chwalili odwagę Anzelma. A on się bardzo szczęśliwym czuł, iż temu dobremu dziecku życie ocalił. Skoro do swojéj przybył sypialni, na kolanach Panu Bogu podziękował, iż mu tyle dał odwagi i tyle sił, że zdołał życie człowieka uratować.

5. Ofiarowana nagroda.

W całém życiu swojém jeszcze nigdy Anzelmo tak dobrze nie spał, jak téj nocy; jeszcze nigdy nie wstał tak wesoły, jak następującego dnia, ponieważ mu się dnia poprzedzającego szczęśliwa pora zdarzyła, tak szlachetny czyn wykonać. Poszedł do ogrodu i widział wschodzące słońce. Zdawało mu się, iż słońce jeszcze nigdy tak

pieknie nie wschodziło. Niebo mu się jeszcze nigdy tak piekném nie wydawało. Kolory kwiatów zdawały mu się być żywsze i świeższe, każda kropla rosy zdawała się jaśniéj świecić. Wszystko w około niego daleko bardziéj niż kiedykolwiek, objawiało mu miłość i dobroć Pana Boga. Jeszcze się nigdy tak czułém sercem nie modlił. — Jego modlitwy wznosiły się razem z wonią kwiatów do nieba.

Poszedł więc do swojéj dziennéj pracy i urywał kwiaty i kładł je w koszyk, któremi codziennie wazony na sali jadalnéj napełnić musiał. W tém przyszedł do ogrodu Achmed, jego pan, i powiedział mu bardzo uprzejmie dzień dobry. „Pójdź ze mną, młody bohaterze! rzekł Achmed, mam z tobą coś ważnego do pomówienia!“

Podał mu uprzejmie rękę, zaprowadził go na aleją, i tam się przechadzał z nim. Po niejakiém milczeniu rzekł: „Mój kochany Anzelmie, jestem ci bardzo wdzięczny, ocaliłeś mojemu dziecku życie. Bez twojéj odwagi, bez twego prędkiego udecydowania byłby je lew swemi kłami okropnie pożarł. Od tego czasu już nie będziesz moim niewolnikiem; będziesz odemnie uważany za syna. Twoje serce daje ci prawo dziecka. Nie będziesz mi już odtąd usługiwał u stołu; lecz będziesz równo jak moje dzieci ze mną u stołu siedział, i z jednego ze mną jadł półmiska. Nie jako sługa będziesz się ubierał, lecz tak, jak ja sam. Należysz teraz zupełnie do mojéj familii. Wszystkie moje zatrudnienia i zabawy będę z tobą

dzielił, i zamyślam z ciebie zrobić znakomitego człowieka. Ale do tego jest nadewszystko jedna rzecz potrzebna — musisz przystać na wiarę mahometańską!“

Pobożny chrześciański młodzieniec zatrwożył się na takowe żądanie. „Achmedzie, rzekł, na to żądaj odemnie życie moje, jestem gotów je za ciebie dać. Tylko nie wymagaj odemnie, abym wiary méj miał odstąpić, i niewiernym stać się mojemu Panu i Zbawicielowi Chrystusowi. Nigdy na wieki tego nie uczynię; ani za wszystkie skarby całego świata. Ona jest mojém szczęściem największém i moją szczęśliwością jedyną. Jéj wiernym zostanę aż do śmierci.“

Achmed nalegał go wszelkiemi namowami a z zadziwieniem Anzelma w języku włoskim. Dotąd tylko pojedyńcze słowa i wyrazy po włosku czasem przebłąkiwał; lecz teraz mówił płynnie, bardzo pieknie i złudzającą wymową. Malował najżywszemi kolorami szczęśliwość, któréj Anzelmo miał dostąpić, gdyby się mógł przezwyciężyć turban przyjąć, to jest, gdyby odstąpił wiary chrześciańsko-katolickiéj, i został Turkiem*)

Lecz Anzelmo rzekł z pogardą i z przyciskiem: „Nie, nie! Nawieki tego nie uczy-

---

*) Turban, zawój, tureckie pokrycie głowy; przyjęcie jego jest znakiem przyjęcia religii mahometańskiéj — bo nikomu niewolno — oprócz Turkowi — zawój nosić.

nię! — Pozwól mi, rzekł także swoim ojczystym językiem, którym też najbiegléj mówił, że ci zamiast wiele dowodów tylko jeden przedstawię. Poczuwasz się dla mnie do wdzięczności, żem się na niebezpieczeństwo życia wystawił, aby twoje dziecko wyrwać z pazurów lwa srogiego. Rozważ sobie tylko, Pan Jezus za mnie i za wszystkich ludzi nietylko swoje życie na niebezpieczeństwo wystawił, lecz istotnie je ofiarował. On i za mnie swoję krew przelał; on dla mnie najokropniejszą śmierć poniósł. On mnie nie tylko z paszczęki srogiego zwierzęcia wybawił, lecz on mnie od daleko okropniejszéj śmierci, od wiecznego potępienia wybawił. On mi nie tylko moje życie doczesne na niejaki czas przedłużył, lecz On mi żywot wieczny zgotował. Jakżebym ja Go więc mógł odstąpić? Jakażby to była sromotna niewdzięczność; jaka haniebna zdrada?“

Achmed był, czego Anzelmo, ani nikt w Algierze nie wiedział, renegatem — to jest, on się był wyrzekł świętéj wiary chrześciańskiéj, i przystąpił na wiarę mahometańską. On był od pobożnych chrześciańskich rodziców zrodzony i w wierze świętéj chrześciańskiéj wychowany; jako kupczyk odbył podróż na morzu, złapanym został od rozbójników morskich, którzy go do Konstantynopolu sprzedali. Tam sobie był zjednał zaufanie swego pana, znakomitego i bogatego Turka, i razem przychylność jego córki uzyskał — i aby zostać dziedzicem takiego bogatego człowieka i mężem jego

pięknéj córki, odstąpił od świętéj wiary chrześciańskiéj i przyjął błędną wiarę Mahometa.

Mowa więc pobożnego Anzelma zrobiła głębokie i mocne wrażenie na jego serce, i niezmiernie go poruszyła. Rzekł zatém do Anzelma: „Ja nie koniecznie wymagam po tobie, abyś się Twojéj świętéj wiary w Jezusa Chrystusa wyrzekł. Wewnątrz, w sercu, możesz jak chcesz w Niego wierzyć; ja nic więcéj od ciebie nie żądam, jak żebyś powierzchownie wiarę mahometańską udawał. Bez téj tylko pozornéj odmiany wiary, nie możesz tu w tym kraju żadnego zrobić szczęścia, ani honorów dostąpić, ani się zbogacić. Kto się tu w tym kraju przeciwko wierze mieszkańców opiera, i obyczajów i zwyczajów ich nie naśladuje, ten się tu niczego spodziewać nie może, jak pogardy i prześladowania. Bądź więc tylko na pozór Mahometanem.“ „Nie, nigdy! rzekł powtórnie Anzelmo. Takie udawanie nie godzi się dla mnie. I nie byłoby w istocie niczém inném, jak publiczne, w najwyższym stopniu kary godne wyparcie się wiary Jezusowéj. A powiedz sam, czyby to mogło być podobieństwem, abyśmy się tego zaprzeć mogli przed ludźmi, którego szczerze i z całego serca kochamy? Ach, gdy sobie miłość naszego Pana i Zbawiciela przypominam, którą on powodowany, już życie za mnie ofiarował, nim ja się jeszcze narodził, jakże więc serce moje czułą miłością przejęte jest dla Niego! Jemu już poświęcony zostałem na chrzcie świętym,

jako nowo narodzone dzieciątko! Moi kochani rodzice mnie już od dzieciństwa nauczali Jego wiary świętéj. Nie doznawałem w życiu mojém nigdy większéj radości, jak Jego poznawać i miłować! Z nadziemską czułością przypominam sobie jeszcze owe zbawienne i błogie chwile, kiedym się z Nim w świętéj komunii, to jest, w najświętszym Sakramencie religii chrześciańskiéj pierwszy raz połączył. — O jakżebym mógł chociaż tylko udawać, że Go wcale nie znam, że nic o Nim wiedzieć nie chcę? Jakżebym Go się chociaż tylko przed oczami ludzkiemi mógł wyrzec? Jakież zgorszenie, jaki zły przykład dałbym przez to mym spółwięźniom chrześciańskim? Ach! gdybym to uczynił, nie miałbym w mojém całém życiu już nigdy spokojnéj godziny! Nie, zachowaj mnie Boże, od takiego złamania wiary! Turkowi, który Chrystusa nigdy nie poznał, któremu go nigdy nie zwiastowano, który Go tylko kaibić słyszał, nie mogę mieć za złe, że w niego nie wierzy; ja go tylko żałować mogę, i żałuję go szczerze. Ale chrześcianin, któryby Pana swego i Zbawiciela zdradził, byłby podły, niegodziwy człowiek. Pan Jezus powiedział o owym wiarołomnym uczniu, który Go za nikczemną summę pieniędzy zdradził: „Takiemu człowiekowi byłoby lepiéj, żeby się nigdy nie był narodził.“ Twoje usiłowanie więc, mnie takim nikczémnym człowiekiem zrobić, jest nadaremne. Sprobuj tylko i połóż tu wszystkie Twoje skarby, wszystko Twoje złoto i śre-

bro i ofiaruj mi do tego jeszcze tę piękną Twoję wieś — a postaw obok nich kata z dobytym mieczem, który już niejednego chrześcianina niewinnego ścinał, i każ mi sobie obierać? Zobaczysz, czy chętniéj głowy nie położę pod miecz, niż żebym miał wiarę złamać.“

Każde słowo Anzelma, jak miecz obosieczny, raniło serce Achmeda. „Bądź spokojny, rzekł do Anzelma, ja szanuję Twoję wiarę. Ja Cię już nigdy nie będę takiemi wnioskami niepokoił!“ Pomieszany odwrócił się, i poszedł zamyślony wolnym krokiem w pole.

6. Wdzięczna Matka.

Anzelmo napełnił do reszty koszyk kwiatami i poszedł z nim do sali jadalnéj, na któréj zazwyczaj Państwo śniadanie jadali. Fatyma swego męża oczekując siedziała ze swemi dziećmi na kanapce, która purpurem obita była. „Mój dobry Anzelmie, rzekła do niego, skoro wstąpił na salę, Tyś wczoraj szlachetny czyn wykonał. Tyś wczoraj moję Almirę od śmierci wybawił. Tyś to z niebezpieczeństwem twego włas-

nego życia uczynił. To był wielki wspaniały uczynek! Anzelmo, którego serce jeszcze pełne było od rozmowy z Achmedem, rzekł: „Nie uczyniłem nic więcéj, jak moję powinność chrześciańską! Jezus Chrystus, który Swoje życie dał za nas ludzi, takie nam dał przykazanie: „Jak ja was miłował, tak i wy się wzajemnie miłować macie!“

To jest piękne przykazanie! rzekła Fatyma. Chciałabym poznać Twoją religią. Opowiedz mi ją, i Twoje całe zdarzenia. Anzelmo opowiedział z wielką czułością, jak go rodzice, ojciec i matka, od dziecinstwa religii chrześciańskiéj nauczali; jak go uczyli Pana Boga, jako Ojca wszystkich ludzi poznać i Jezusa Chrystusa najmilszego Syna Bożego; jak Pan Jezus rozkazał, abyśmy Pana Boga w Niebie nadewszystko, a wszystkich ludzi, jako dzieci Boskie, jako naszych braci i siostry, jak siebie samych miłowali. Łzami zalany opowiedział, co go w życiu, w męce i śmierci Jezusa Chrystusa zawsze najbardziéj rozczulało. Anzelmo przypominał sobie jeszcze wiele słów, które mu matka z pobożnego serca o męce Jezusa Chrystusa powiedziała, a które mu na zawsze w pamięci utkwiły. On wiele z tych mów, słowo w słowo powtórzył. On z największém natchnieniem mówił o piękności i wyborności religii chrześciańskiéj. Wszystko, co powiadał, ale szczególniéj słowa jego matki, czyniły na macierzyńskie serce Fatymy i na serce dzieci najgłębsze wrażenie. Mała

Almira płakała od żalu, iż Pan Jezus, który był tak dobry, na śmieeć zamęczony został. A mały Aladyn rzekł: „Ej, gdybym ja był jego moc miał, jabym wszystkich tych złoczyńców błyskawicą był rozdrzuzgotał.“ Anzelmo odpowiedział, iż Pan Jezus dobrowolnie cierpiał z miłości ku ludziom, że on się dał zabić, aby nas od śmierci wiecznéj, od potępienia wiecznego wybawił, że umierając modlił się jeszcze do Boga za tych, co go krzyżowali: Ojcze odpuść im, bo nie wiedzą co czynią.“

Ta miłość umierającego Zbawiciela tak poruszyła serca dzieci i nawet matki, iż wszystkim łzy w oczach stanęły.

To prawdziwa Boska miłość, rzekła Fatyma; ten Jezus wszystko co czynił i cierpiał, wszystko z miłości i miłosierdzia czynił!“

Fatyma chciała jeszcze wiedzieć, jakim sposobem się Anzelmo do Algieru dostał. Anzelmo powiedział, jak go, chcąc rodziców odwiedzić, rozbójnicy morscy napadli, na okręt zaprowadzili, źle się z nim obchodzili, i dla nikczemnego zysku pieniędzy za niewolnika przedali. „Co mnie najbardziéj w tém zasmuca, rzekł zalawszy się łzami, jest kłopot moich kochanych rodziców, i mego małego brata i mojéj siostrzyczki, którzy nie wiele są starsi od tych tu dwoje dzieci. A z jakiém ubolewaniem zapewno oczekiwali mego przybycia wszyscy, i jak boleśnie może wyrzekali, gdy mie ździeć nie było! O jak się teraz jeszcze smu-

cić będą, że o ich Anzelmie jeszcze nic nie słychać!“

„Ja Twoich dobrych rodziców serdecznie żałuję, rzekła Fatyma. Było to wielkie okrucieństwo ad rozbójników, którzy Cię im porwali. Wy chrześcianie musicie Turków za największych nieprzyjaciół uważać i nienawidzieć!“

„Bynajmniéj, odpowiedział Anzelmo, tego nam Chrześcianom nie wolno czynić, my wszystkich ludzi, Turków i Żydów musiemy kochać, inaczéj nie bylibyśmy chrześcianami.“

„Twoja religia mi się podoba, rzekła Fatyma; uważam ją za bardzo dobrą.“ Zamyślona milczała przez niejaki czas.

„Prawdziwie, pomyślała sobie, religia chrześciańska jest lepsza, niż turecka. Mahomet, nasz prorok, uczył nienawiści przeciw ludziom innych wyznań; Jezus Chrystus nauczyciel chrześciańskiéj religii, tylko miłości nauczał. Mahomet rozlał krew wielu tysięcy ludzi, aby im swoję religią narzucić; Jezus Chrystus przelał swoję krew najświętszą z miłości ku ludziom i zakazał swoję religią mieczem rozszerzać! Muszę wyznać, iż Pan Jezus niezmiernie wyżéj od Mahometa stoi.“ Lecz nieśmiała jeszcze teraz tego wszystkiego głośno powiedzieć.

Co od serca idzie, do serca trafia. Dlatego też słowa Anzelma takie głębokie wrażenie sprawiły na Fatymie. Zresztą całe jéj serce z powodu szczęśliwego uratowania swego kochanego dziecka, radością i wdzięcznością przejęte było dla szlachetnego wy-

bawcy. Pójdź, moja Almiro, rzekła do dziecka, podziękuj i ty szlachetnemu młodzieńcowi, który ci życie uratował.“

Dziecko poszło do niego, patrzało ze łzami w oczach na niego, wyciągnęło ku niemu rączki i rzekło: „Dziękuję Ci, mój kochany Anzelmie. Pan Bóg wielki i potężny! niech Ci za to wynagrodzi.“

Oto patrz, Anzelmie, rzekła matka, gdym jeszcze takiem dzieckiem była, miałam chrześciańską niewolnicę za piastunkę. Była to nadzwycajnie miła towarzyszka, i kochała mnie szczérze. Opowiadała mi wiele o Boskiem Dzieciątku, z którego narodzenia się aniołowie cieszyli, Pana Boga chwalili, i ludziom wielką radość i szczęście winszowali. Te i podobne historye należą do najprzyjemniejszych wspomnień z mych dziecinnych lat. Śpiewała mi też swoje pieśni nabożne, które mi jeszcze ciągle tkwią w pamięci, a które też były przyczyną, żeś ty jako przyjemny śpiewak do naszego domu został przyjęty. Już się rychło w mojém sercu miłość dla religii chrześciańskiéj odzywała. Lecz gdy to moi rodzice spostrzegli, oddalili pobożną niewolnicę chrześciankę odemnie. Ja ją prawie bardziéj kochała, niż moję matkę, płakałam więc i nie chciałam się z nią rozstać.“ Na moje usilne prośby darowali jéj wolność moi rodzice, i odesłali ją do jéj ojczyzny na powrót, dokąd téż, jak mi powiedziano, szczęśliwie przybyła. Jeszcze teraz sobie jéj bladą i łagodną twarz przy-

pominam. I ona rzewno płakała, gdy się żegnała. Jéj ostatnie słowa były: „Nie zapominaj o mnie, Fatymo, Ty równo jeszcze kiedyś będziesz chrześcianką.“

7. Wielkie przedsiewzięcie i jego wykonanie.

Temi rozmowami były Fatymie kilka godzin w okamgnienia upłynęły. Ale teraz zaczął się u dzieci głód odzywać; bo śniadanie jeszcze ciągle nienaruszone stało na stole. Matka zaczęła być niespokojną, iż ojciec tak długo na śniadanie nie przychodził, Nie mogła wcale pojąć, gdzie tak długo zostawał. Gdy prawie co rano dalekie robił spacery, wpadła na tę okropną myśl, że może łupem srogiego lwa został.

Achmed tymczasem przechadzał się w lasku oliwnym z założonemi rękami. Jego odstępstwo od religii chrześciańskiéj jeszcze mu nigdy na sercu tak nie ciężało, jak dziś. „Ten pobożny młodzieniec, rzekł Achmed, swoją prostą mową trafił serce moję, jak ostrą strzałą. Nie byłbym wprawdzie nigdy spokojnym, ale teraz mi moje

stósunki są nieznośne! Ja się zabiorę i powrócę do mojéj ojczyzny i na łono kościoła świętego. Z Fatymą będę może trudną miał sprawę. Ach gdybym ją mógł namówić, aby zemną chciała jechać i religią chrześciańską przyjąć! Mógłbym się wprawdzie sam potajemnie oddalić. Lecz boleśnieby mi jednak było, gdybym ją miał opuścić i obojętném na to patrzyć okiem, aby moje dzieci miały być w fałszywéj wierze tureckiéj wychowane. Ja jéj mój zamiar powiem — i to natychmiast! Może ją uczynek Anzelma przychylniejszą do przyjęcia moich zamiarów uczyni.“

Z poważną i zamyśloną twarzą wstąpił na salę, aby jéj swój zamiar odkryć. Nie wiedział, ile mu już poprzednio Anzelmo pracę był ułatwił.

O mój kochany Achmedzie, rzekła zaraz do wchodzącego męża, o gdybyś też tu był przytomny! Prawdziwie Anzelmo mi w paru godzinach tyle o wyborności chrześciańskiéj religii opowiedział, iż mojém najszczerszém życzeniem jest, chrześciańską przyjąć religią. Wyznaję, iż gdybym w twojém miejscu była, toby mnie nic na świecie nie było w stanie spowodować, tak wybornéj wyrzec się religii.“

Cała twarz Achmeda natychmiast się rozweseliła, gdy te słowa usłyszał. „Bogu dzięki, rzekł, że takie masz myśli. Ja tak myślę, jak ty, i przychodzę właśnie, aby się z Tobą w tym interesie dokładnie rozmówić.“

Fatyma kazała Anzelmowi dzieci do innego pokoju wyprowadzić i tam śniadanie zjeść, a potém rzekła do Achmeda. „Na co się zdadzą długie rozmowy? Ja jestem gotowa, Tobie z naszemi dziećmi do Twojéj ojczyzny towarzyszyć.“ Achmed ztąd niezmiernie się ucieszył, lecz zachodziła jeszcze w tém wielka trudność, jakby to uskutecznić.

Ale na to zaraz Fatyma wiedziała radę. „Tyś dopiero przed kilku dniami przed kilku przyjaciołmi nadminił, rzekła, że Cię pilny interes przymusi, osobiście się udać do Wenecyi. Tę już często przed nimi wspominaną podróż, oświadczysz im jako bardzo blizką. Oni więc, jak i każdy inny łatwo uwierzą, żeś mi mojéj prozby, aby z Tobą podróż dzielić, nie mógł odmówić. Tak się też samo przez się rozumieć będzie, że ja moich dzieci samych w domu zostawić nie chcę. Nasze skarby w złocie i śrebrze, perłach i drogich kamieniach i inne kosztowne rzeczy możemy bez wątpienia ze sobą zabrać. Turcy nam to pochwałą, że się tam w przepychu pokazać chcemy. Tak też jeszcze wiele, nam drogich rzeczy możemy w towary kupieckie zapakować, i bez wzbudzenia najmniejszéj podejrzliwości, ze sobą wziąć. Co się tyczy naszéj tutejszéj wioski, to ja Cię wczoraj wieczór przed wszystkimi naszymi ludźmi prosiła, abyś ją przedał, ponieważ nasze dzieci ani na krok z domu się oddalić nie mogą, i dla złego sąsiedztwa lwów, już życia niebezpieczne są. Nikt téj obawy bojaźliwéj matki ganić nie będzie. Przedaj więc wieś, pościągaj ka-

pitały, i uszykuj wszystko jak najprędzéj do opuszczenia na zawsze Algieru.

Achmed pochwalił mądrość swojéj żony, przedał wieś, najął sobie okręt, kazał nań wszystkie swoje ruchomości zanieść i pojechał z żoną i dziećmi, Anzelmem i kilku innymi chrześciańskimi niewolnikami na morze. O wiele lżéj mu się na sercu zrobiło, gdy im nieprzyjacielski Algier z ócz zniknął. Wylądował w Salernie. Tam tymczasem zostawił żonę i dzieci, aby od uciążliwéj podróży morskiéj wypocznęły, a on się niezwłocznie udał do Rzymu.

Gdy porzuciwszy ubiór turecki, po chrześciańsku się ubrał, przypuszczony został na audyencyą przed Ojca świętego, czyli Papieża, i od niego miłościwie napowrót na łono kościoła przyjęty został. Szlachetnemu młodzieńcowi Anzelmowi Ojciec święty szczególnie okazał swoje ukontentowanie, i dał mu wzruszoném sercem swoje błogosławieństwo. „Ty jeszcze, rzekł do niego, w ręku Pana Boga będziesz narzędziem uszczęśliwienia wielu ludzi.“

W Salernie dokąt Achmed spiesznie powrócił, odbyła się jeszcze wielka uroczystość. Fatyma ze swojemi dziećmi dała się w kościele Katedralnym ochrzcić. Wystąpili jeszcze z największą okazałością w ubiorach tureckich.

Arcybiskup, do którego dyecezyi Achmed był należał, sam się świętemi obrządkami zajął. Niezliczone mnóstwo ludzi zgromadziło się w wspaniałym kościele. Wszystkie oczy na tę piękną i udatną panią zwró-

cone były, która mimo wszelkiéj wspaniałości, z jaką wystąpiła, z najgłębszą pokorą do Arcybiskupa się zbliżała. Ale prawie jeszcze bardziéj cieszył się lud z jéj dzieci, które z złożonemi rączkami i widocznem nabożeństwem chrzest święty przyjmowały. Gdy z kościoła wyszli, i gdy się kiedykolwiek w następujących dniach matka z dziećmi na ulicy pokazała, od żywych Włochów głośnemi okrzykami przyjęci zostali. Każdy im szczęścia i błogosławieństwa życzył.

8. Dwie szczęśliwe Familie.

Anzelmo był zaraz ze Salerny zaufanego przyjaciela do swoich rodziców posłał, z którym się jeszcze na uniwerzytecie był poznał, aby ich na przybycie swoje przygotował. Ten przyniósł im list od Anzelma i uwiadomił ich o najgłówniejszych przypadkach ich najmilszego syna. Lecz dnia, kiedy Anzelmo z Rzymu lub ze Salerny do domu ojcowskiego powróci, z pewnością im oznaczyć nie mógł.

Pewnego wieczora, gdy się słońce zbliżało ku zachodowi, siedzieli rodzice ze swemi dwoma dziećmi przed wrotami swego starożytnego pałacu pod lipą. Jéj jedyna

rozmowa była o Anzelmie. Wtém bieżał młody człowiek w pielgrzymskim ubiorze spiesznym krokiem ku nim. Był to Anzelmo, ale go zaraz nie poznali. Znacznie był urosł, a jego cera twarzy zbrunatniała. Matka sobie też wystawiała, iż jéj syn podług opisu jego przyjaciela, w towarzystwie owéj bogatéj famili w przepysznym powozie powróci. Lecz gdy go poznali, była radość rodziców i dzieci tak wielka, że się żadnym językiem wyrazić nie da. Matka, ojciec, brat i siostra prowadzili go jak w tryumfie do pałacu. Złożył laskę, kapelusz i ubiór pielgrzymski, i stanął stósownie do swego stanu ubrany przed nimi. Ubiórem pielgrzymskim się tylko był odział, aby bez przeszkody i podług swojéj myśli prędzéj mógł podróż odprawić. Matka kazała wspaniałą ucztę przygotować. Rodzice i dzieci nie poszli przed północą na spoczynek. Anzelmo opowiedział im dokładnie swoje przypadki. Rodzice mu bez przestanku swoje przeszłe narzekania i umartwienia opowiadali, i swoję nieograniczoną obecną radość.

W trzy dni późniéj przybył Achmed, ale już teraz nie nazywał się Achmedem lecz jak dawniéj Guidonem, z żoną i dziećmi na odwiedziny rodziców Anzelma. Wspólna wiara w Jezusa Chrystusa i miłość chrześciańska w krótkim czasie połączyła wszystkich w jednę familią. Guido szanował czcigodnego ojca Anzelma, który już w podeszłym nieco był wieku, jak swego. Fatyma, imieniem teraz Maryanna, i matka

Anzelma, wnet najlepszemi zostały przyjaciółkami. Brat i siostra Anzelma bawili się bardzo wesoło z Almirą i Aladynem, którzy na chrzcie świętym przyjęli imiona Klary i Ignacego. Ustawicznie opowiadały sobie dzieci o Afryce i o Włoszech, szczególnie wzmianka bywała o owym srogim lwie.

Ojciec Anzelma, gdy widząc się teraz od tylu szczęśliwych ludzi otoczonym, nie mógł się utrzymać od głośnego świętéj opatrzności Boskiéj wielbienia. „Ty dobry Ojcze w Niebie, rzekł, Ty najmędrzéj i najlepiéj wszystko umiesz kierować! Była to dla mnie i mojéj kochanéj małżonki ciężka klęska, gdy nam naszego najukochańszego syna rozbójnicy porwali, i w ciężkim pogrążeni byliśmy smutku. I dla niego to było bardzo przykro. Lecz te krótkie przykrości przyczyną były dla wielu osób wielkiéj korzyści i szczęścia, a dla nas wszystkich niewypowiedzanéj radości. Któżby Cię nie miał, z wdzięcznością wielbić i chwalić, Ty nieskończenie mądry i dobry Boże!“

Guido wiedział, iż rodzice Anzelma bardzo wiele w czasie wojny utracili, że pałac ich kilka razy od nieprzyjaciół został zrabowany, że wszystkich kosztownych rzeczy pozbawieni zostali, i wszystkie swoje wypożyczone kapitały utracili. Wręczył im więc pewnego dnia pismo, w którém im Guido połowę swego znacznego majątku sądownie zapewnił. Ponieważ my, rzekł Guido, przez Was i Waszego syna, które-

goście tak dobrze wychowali, wieczne osięgnęli dobra, słuszna więc jest, że też z Wami nasze doczesne dostatki podzielimy.“

Lecc Anzelma ojciec rzekł: „Nie, zachowaj Boże, abym od Was aby szeląg miał przyjąć. Prawda jest, że nie posiadamy bogactw wielkich, i podobnie do innych domów, które jeszcze większe posiadały majątki, musiemy się obyć bez owych wygód i dostatków, które sobie Szlachta zazwyczaj pretenduje. Ale to nic do rzeczy, to owszém też ma swoję dobrą stronę. Ach jak często nas ludzi bogactwa zwodzą, iż powierzchowny blask wyżéj ceniemy, niż prawdziwą wartość wewnętrną ludzi, i więcéj się za próżnemi zabawami zmysłowemi ubiegamy, jak za wyższemi, jedynie prawdziwemi uciechami duszy. Ale lubośmy nie bogaci, jednak też nie jesteśmy ubogimi. Mamy, Bogu chwała, dostateczne utrzymanie — a to dosyć jest. Modliłem się zawsze z królem Salomonem i moje dzieci tak modlić się uczyłem: „Nie daj mi, Panie! ani ubóstwa ani bogactw! Lecz pozwól mi mój chleb w skromności jeść, dopóki na ziemi żyć będę: inaczéj, gdybym się za nadto nasycił, mógłbym się stać nikczemnym chełpliwcem i rzeknąć: kto jest Pan! Albo za ubogiem, mógłbym cudzego dobra naruszyć, i zgrzeszyć przeciw Imieniu Pana Boga mego fałszywém świadectwem.“

Znajduję ten sposób myślenia wsaméj

rzeczy mądrym, pięknym i szlachetnym, rzekł Guido. Ja to wiem z doświadczenia, jak niebezpieczna jest chciwość bogactw. Lecz Anzelmo już za nadto jest doświadczony, aby mu bogactwo mogło być niebezpiecznem. Lubo moję ofiarę odrzucacie, jednak mi to nie będzie przeszkodą, abym się Waszemu szlachetnemu Synowi nie miał wypłacić. On nie tylko mojéj córce życie uratował, ale jemu mam do podziękowania, iż na drogę do Nieba, z któréj byłem zboczył, znów zaprowadzony zostałem, i że też i moje dzieci ze swoją matką postępować nią będą. Przyjmij więc, kochany Anzelmie, tu połowę mego majątku.“

Ja, rzekł Anzelmo, jeszcze mniéj jak mój ojciec, Twój wspaniałomyślny dar przyjąć mogę; bo w Rzymie zrobiłem mocne przedziewzięcie, do któregokolwiek duchownego zakonu wstąpić, gdzie wstępując będę musiał przysięgę ubóstwa dobrowolnego uczynić, aby jedynie za wiecznemi ubiegać się dobrami, i innych także ludzi nauką, słowem i przykładem do dążenia tego zachęcać. Tymczasem jednak się ośmielam z Twojéj wspaniałomyślności korzystać, i niniejsze prozby Ci przedłożyć. Powiadałem Ci o owych więźniach i niewolnikach, którzy się zemną na owym okręcie rozbójniczym znajdowali, szczególnie o jednym sędziem, jednym biednym majtku i jednym politowania godnym rybaku.

W Algierze dowiadywałem się często o nich, ale się nigdy niczego o nich dowiedzieć nie mógłem. Lecz tu dowiedziałem się,

iż jeszcze w niewoli jęczą. W mojéj podróży ze Salerny tu dotąd, wstąpiłem do jednego klasztoru Zakonu Wyswobodzenia biednych chrześcian z niewoli Turków. Prosiłem, aby mi spis niewolników przedłożyli, o których uwolnieniu ci pobożni mężowie właśnie pomyśleli. Z mojém największém zadowolnieniem znalazłem na nim téż moich spółwięźniów; lecz czcigodni Ojcowie jeszcze nie byli mógli przez zbierane składki potrzebnych na to pieniędzy zebrać. Proszę Cię więc, kochany Guidonie, obróć część tych pieniędzy, któreś mnie chciał ofiarować, na to, aby tych nieszczęśliwych z niewoli wykupić. Ów miłosierny zakon z pewnością ich uwolnienie wnet uskuteczni. Uczyń to. Wątpię czybyś piękniejszy uczynek miłosierdzia kiedykolwiek mógł wypełnić.“

Guido rzekł: „Nie tylko część, lecz całą summę przeznaczę na wykupienie owych trzech od Ciebie wymienionych i drugich twych towarzyszów nieszczęśliwych, ale téż jeszcze na wykupienie wielu innych niewolników. Mają być wolnymi, jak i moim chrześciańskim niewolnikom, których sobie z Algieru przywiózłem, wolność darowałem.“ Anzelma to niezmiernie ucieszyło, i rzekł: „Za to Ci Pan Bóg sowicie wynagrodzi. On Cię w owym dniu pomiędzy tych na swéj prawicy postawi, do których mówić będzie: „Byłem więzionym, a wyście mnie wybawili!“ „Bo zaprawdę powiadam wam, coście jednemu z tych moich najmniéjszych braci uczynili, to mnie uczyniliście.“

9. Jeszcze jedne rozczulające odwiedziny.

Guido w oddaleniu pare mil tylko od ojcowskiego zamku Anzelma, okupił sobie piękną wioskę. Obie familie żyły w najszczęśliwszéj zgodzie, i odwiedzały się bardzo często. Anzelmo od Guidona wspierany, kontynuował swoje nauki w Salernie i Rzymie, ale wakacye zwykle przepędził u swoich rodziców na wsi.

Pewnego dnia, około Wielkanocy, był znów Anzelmo do rodziców na święta przybył. Guido ze swoją familią przybył tam także, aby go zobaczyć, i przywiózł z sobą list, w którym mu ów w niewolę zabrany młody sędzia za wykupienie najczulsze dzięki składał, i oraz szlachetnego młodzieńca Anzelma, swego niegdyś spółniewolnika, serdecznie i mile pozdrawiał.

Następującego dnia siedzieli właśnie wszyscy przy stole. W tym dał się stary rybak i młody majtek zameldować, którzy

się wraz z Anzelmem na okręcie rozbójników morskich znajdowali, ale teraz też już uwolnieni byli, i przyszli szlachetnemu Guidonowi podziękować. Mieszkali oni w téj okolicy. Majtek przyprowadził swoich starych rodziców, a rybak swoje pięcioro dzieci i żonę. Był to zachwycający widok, gdy wszyscy płakali i obfite łzy radości i serdecznéj wdzięczności wylewali.

Guido rzekł do nich: „Nie mnie, lecz temu młodzieńcowi dziękujcie! Jemu winniście waszę wolność, ale ja z moją żoną i mojemi dziećmi, winniśmy mu daleko więcéj. Ten szlachetny wasz spółwięzień jest waszym wybawcą.“

Majtek i rybak nie byli zaraz Anzelma poznali, lecz przypomnieli go sobie dopiero teraz, i stary rybak rzekł: „Doprawdy, to jest ów młodzieniec, który nam się w naszym smutku na okręcie rozbójników jak anioł ukazał i mile nas pocieszył. O moje dzieci, kochana żono i ty sąsiedzie z Twoimi starymi rodzicami, podziękujcie mu za jego ofiarę i dobrodziejstwo.“

Wszyscy otoczyli Anzelma i chcieli go w ręce całować. Lecz Anzelmo wzbraniał im tego i rzekł: „Moim kochanym rodzicom dziękujcie! Oni we mnie słowem i uczynkiem taki sposób myślenia wpajali, i tak czynić mnie nauczyli. Czém jestem, tym jedynie jestem oprócz z łaski Pana Boga, z ich dobrego wychowania, które mi dali.“

Ojciec Anzelma stanąwszy między nimi, zdjął czapkę, wzniósł oczy ku niebu i rzekł: „Wszelka chwała i wszystkie dzięki

należą Panu Bogu samemu! On wszystko, jak zawsze, na dobre wykierował. On, który dopuścił, iż mój syn wpadł w ręce rozbójników, On nasze narzekanie tak w moim domu jak tam na okręcie na pożytek nam obrócił. Przez te cierpienia, zdaje mi się, zostaliśmy wszyscy pobożniejszymi, mędrszymi i lepszymi. Pan Bóg dopuścił na nas wielką nędzę, ale nam też zgotował wielką radość. — Kiedy syn z dobrego wychowania, które od rodziców i nauczycieli odebrał, korzysta, talentu od Pana Boga mu udzielonego, na dobre używa, a przytém trwa w pokorze serca, nie własnéj szuka chwały, lecz czci i chwały Pana Boga, i Boskim rządzi się duchem; wtenczas Pan Bóg przez niego wielkie zdziałać może rzeczy i dla wielu ludzi stać się może błogosławieństwem — nie tylko tu w tém krótkiém życiu, lecz nawet dla całéj wieczności. Jemu niech będzie cześć i chwała, teraz i zawsze na wieki wieków. Amen.“

Anzelmo uczył się ś. Teologii, i obrał sobie po ukończonych naukach zakon Zbawiciela naszego, a swoich dóbr ojczystych odstąpił bratu młodszemu. Doniósł o tém w liście swoim rodzicom, i prosił pokornie o ich zezwolenie. „Do tego zakonu powziąłem wielkie upodobanie, pisał swoim rodzicom, ponieważ się w Algierze o nędzy w niewolę zabranych chrześcian naocznie przekonałem. — Ksiądz szlacheckiego rodu, Jan de Matha odznaczający się tak naukami jak pobożnością względem Pana Boga i miłością względem ludzi, jest jak Wam wia-

domo, fundatorem tego Zakonu. Jak piękne i szlachetne jest przeznaczenie tego Zakonu, nieumiejętnych, szczególnie ze stanu wojskowego, nauczać, chorych pielęgnować i dozorować, i niewolników wykupować. Przekonałem się, że ci Zakonnicy względem siebie bardzo są surowi, względem drugich bardzo łagodni i dobroczynni. Oni się najpodlejszemi kontentują pokarmami, i tylko o tém myślą, aby wszystko co mają i co nabyć mogą, nawet życie swoje z wesołém sercem za swych braci ofiarować.“

Pobożni rodzice Anzelma zezwolili na jego przedsięwzięcie. Oboje, szczególnie matka, wielce się ucieszyła, gdy swego ukochanego Anzelma pierwszy raz w białym ubiorze zakonnym z czerwonym krzyżem na piersiach ujrzała. „Krzyż, rzekł Anzelmo, przypomina nam, iż wierząc w Tego, który za nas na krzyżu umarł, nasze własne cierpienia z cierpliwością znosić, a cierpienia drugich uprzejmie łagodzić mamy. Biały i czerwony kolor znaczą, że Zakonnicy czystość życia zachować, i względem ludzi, szczególnie cierpiących, miłością się zagrzewać mają.“

„To istotnie wszyscy ludzie czynić powinni, rzekł ojciec, a to i my czynić będziemy. Zgadza się to zupełnie z tém, co święty Apostół Jakób pisze: „Nabożeństwo czyste i niepokalane u Boga i Ojca to jest: Nawiedzać sieroty i wdowy w ucisku ich: a siebie zachować niezmazanym od tego świata.“

II. Kaplica.

Dawna powieść.

---

1. Biedna wdowa i jéj syn.

Małgorzata była wdową po biednym wyrobniku. Mały domek słomą pokryty, łączka, do niego należąca, jedna krowa, i kilka kószek pszczół, były całym jéj majątkiem. Mały Grzegórz, był jedyną jéj radością na świecie. Od świtu aż do późnéj nocy przędła bez ustanku. Zarobek z przędzenia i dochody z małéj łąki żywiły ją z jéj dzieckiem dostatecznie. Mogła sobie zboża na chléb kupić; mleka i masła sama miała w dostatku, a miodu jeszcze mogła co rok przedać.

Ona była w swém ubóstwie bardzo kontenta i wesoła. Wczasie wiosny, gdy słońce miło i ciepło świeciło, wyprowadzała

swego małego Grzegorza na łąkę, która się aż do bliskiego, drzewami leśnemi zarosłe go pagórka ciągnęła, i tysiącznemi kwiatami przyozdobiona była. „Oto patrz, Grzegorzu, rzekła, czyż tu na téj łące nie jest tak pięknie, jak w raju? Ludzie w prawdzie mówią, iż ubodzy jesteśmy, lecz czegóż nam nie dostaje? Posiadamy wprawdzie tylko, jak zwykle mówią, garstkę ziemi, lecz ta łąka pełna trawy i kwiatów, dla nas istotnie jest krajem, w którym miód i mleko płynie. — Kto się tém kontentuje, co ma, jest bogaty; lecz kto więcéj pragnie, niż potrzebuje, ten zawsze będzie ubogim, chociażby cały świat posiadał. My za to, co mamy, codziennie Panu Bogu dziękować będziemy!“

Mały Grzegórz wzrastał i pomimo swych prostych pokarmów był czerstwym i zdrowym chłopcem. Matka miała w jego wychowaniu zawsze to na oku, aby kiedyś był tak użytecznym wyrobnikiem, jak jego ojciec. Wyżéj jéj życzenia nie sięgały. Ona kiedyś służyła u gospodarza, który tylko pare mil od jéj teraźniejszego miejsca pobytu mieszkał. Syn gospodarza, który w ów czas jeszcze był dzieckiem, objął tymczasem gospodarstwo na siebie. Prosiła więc owego młodego gospodarza, aby Grzegorza przyjął na służbę. Gospodarz chętnie na to przystał, a ona chłopcu przysposobiła jeszcze kilka potrzebnych koszul i inne rzeczy.

Dobry Grzegórz poszedł przed swojém oddaleniem się z domu do wszystkich swych

dobrodziejów i swych przyjaciół pożegnać się. Nawet z krową, któréj nie jednę płachtę trawy był przyniósł, nie rozstał się bez łez. „Dobre bydlę, rzekł, drapiąc ją po czole, tyś mnie długo twojém mlekiem karmiła; ja cię już dłużéj karmić nie mogę, ale matka będzie o tobie miała staranie.“

Matka dała odchodzącemu jeszcze wiele dobrych nauk i pożytecznych napomnień. Jeszcze na progu, gdy przed nią z napchanym wórem na plecach i z kijem w ręku stał, rzekła do niego: „Idź więc z Panem Bogiem, synu mój! Miéj ciągle Boga przed oczyma, módl się z ochotą, i nie opuszczaj żadnéj sposobności odwiedzania kiedykolwiek kościoła. Twojemu bliźniemu czyń przysługi, jakie tylko możesz. Nie zapominaj o twéj matce, która Cię tak serdecznie kocha, i kochać będzie, aż do śmierci. Idź z Panem Bogiem, i żyj szczęśliwie!“

Gdy Grzegórz odszedł, przędła matka jeszcze pilniéj i żyła jeszcze oszczędniéj niż przedtém. Chciała dla swego kochanego Grzegorza cokolwiek usporzyć, aby kiedyś dziedzictwo po swoich rodzicach bez kłopotu mógł na siebie przyjąć. Ona sobie często na obiad ani na kolacyą nic ciepłego nie gotowała, i tylko chleb i mleko jadała. Nie powiedziała o tém nikomu ani słowa; ale to ludzie jednak pomiarkowali, ponieważ z jéj komina się nie dymiło. Przytém wszystkiém jednak dla ubogich okazywała się miłosierną i dobroczynną. Często posiłała dzieci ubogiego sąsiada mlekiem, albo zawoławszy je do izby, nasmarowała im

suchy chléb, który od rodziców na kolacyą dostały, masłem, a w święta miodem. Lecz dobre nauki, które im zwyczajnie udzielała, były daleko wyborniejsze, niż mleko i miód.

Jednego wieczora zimową porą, gdy góry i doliny głębokiem pokryte były śniegiem, i ostry był mróz, zapędziła krowę do zdroju, który z pod bliskiego pagórka drzewami leśnemi zarosłego wytryskiwał. Wieczór był pogodny i cichy, całe niebo na zachodzie czerwieniło się, jak łuna, a na wschodzie unosił się księżyc nad leśnemi pagórkami, a krowa piła z przezroczystego strumyka. Wtém nagle wypadł z boru wilk, rozszarpał przed oczami Małgorzaty krowę. Naokół był śnieg krwią zbroczony. Małgorzata zdięta strachem, uciekła spiesznie do domu, i przeraźliwie płakała. Nie tak dla poniesionéj straty, jak szczególniéj z litości nad dobrém bydlęciem serce jéj żalem ściśnione było.

Dzieci sąsiada przyszły drugiego dnia z płaczem do niéj, i żałowały krowy. Lecz przytém żałowały także, iż im już teraz Małgorzata ani mleka, ani masła dawać nie mogła. „Ale czemuż téż Pan Bóg srogiego wilka stworzył, rzekło jedno z dzieci, który tak dobre i pożyteczne zwierzęta pożera?“ „Ten zły wilk, rzekło drugie, od niejakiego czasu już kilka owieczek rozszarpał i pożarł. Czemu téż Pan Bóg to dopuszcza?“

„Tego ja wam wytłomaczyć nie mogę, rzekła Małgorzata; lecz wierzyć to musie-

my, iż wszystko, cokolwiek Pan Bóg dopuszcza, mądrze jest i dobrze. Może nam Pan Bóg naocznie chce pokazać, jako to okropna jest rzecz, być złodziejem i mordercą, abyśmy się tém bardziéj kradzieżą i zabójstwem brzydzili. O żeby żadne z was nigdy podobném nie było owemu drapieżnemu wilkowi! Bądźcie raczéj podobni cierpliwemu i spokojnemu barankowi.“

2. Rycerz i jego dzieci.

Pewien rycerz w téj okolicy, imieniem Ulryk Wilczyński, dowiedział się o tém, jakie szkody to zwierzę drapieżne robiło, i że nie tylko trzody, ale nawet ludzi napada. Lubił bardzo polowanie, i wezwał wszystkich poddanych, strzelców i amatorów polowania w okolicy, aby z nim wielkie polowanie na tego wilka uczynili. Konrad, syn jego, prosił usilnie ojca swego, aby mu pozwolił z sobą iść na polowanie. Cieszył się ojciec, iż syn tyle pokazywał odwagi. Wziął go ze sobą na polowanie, ale mu ostro przykazał, aby się zawsze przy boku ojca, albo starego nadwornego strzelca trzymał, i nigdy się od nich na krok nie oddalał.

Rycerz Ulryk wziąwszy mnóstwo dużych psów ze sobą, wyjechał ze swymi towarzyszami na polowanie, opatrzony w dzidy, strzały i łuki. Wów czas nie znano jeszcze flint; było więc wtenczas daleko trudniéj, jak teraz, zabić dzikie zwierzę drapieżne. Wszyscy strzelcy puszczali się więc z największą ostróżnością w bory i lasy. Podzielili się tak, iż zawsze jeden drugiemu łatwo mógł przyjść na pómoc. Młodemu odważnemu Konradowi całe to polowanie szło za wolno. Ukradkiem oddalił się od ojca, i poszedł naprzód w gęsty las. W młodocianym zapale i odwadze trząsł się od chciwości, aby honoru zabicia wilka dostąpić.

Z naciągniętym łukiem wystąpił z gęstwiny na trochę wolniejsze miejsce w lesie. W tém ujrzał wilka z głębokiéj doliny, gęstwiną zarosłéj, nadchodzącego. Konrad natychmiast strzałę położył na łuk, zmierzył, strzelił i trafił wilka w kudlate piersi. Lecz Konrad był za prędki, i za rychło był strzałę puścił. Jeszcze za daleko od niego oddalony był wilk, aby mu strzała cios śmiertelny była mogła zadać; śmiertelna strzała tylko lekko zraniła srogie zwierzę. Wilk jak wściekły rzucił się na swego nieprzyjaciela. Konrad wpiął się prędko na drzewko, przy którém właśnie stał. Wilk ledwo nie złapał biednego młodzieńca za nogę. Drzewko nie było bardzo wysokie, i nawet dolne grubsze gałęzie zdawały się być za słabe, aby ciężar człowieka znieść mogły. Konrad tymczasem stanął na jednéj

gałęzi. Wilk odszedł kawałek od drzewa, zasadził się i ogromny skok zrobił, aby Konrada z drzewa ściągnąć. Wielkie rozwarte paszczęki, pełne okropnych kłów, prawie dosięgły drżącego młodzieńca, ale go jednak złapać nie mogły. Wilk jeszcze kilka razy powtórzył swe napaści z ponawiającą się wściekłością, lecz nadaremno. Nakoniec usiadł pod drzewem na ogonie, i patrzał z rozwartemi paszczękami i iskrzącemi ślépiami na Konrada, wył okropnie i skomlał od czasu do czasu z chciwości krwi i wściekłości.

Konrad miał nadzieję, że wilk drzewo opuści albo że strzelcy i psy przybędą i tę dziką bestyą zamordują. Zaczął więc ze wszystkich sił o pomoc wołać, lecz tęgi wiatr szumiejący w lesie, zagłuszył i rozwiał głos jego. Zaczęło się zmierzchać. Słońce bliziutenkie było zachodu; a wiatr przeraźliwie zimny. Konrad był istotnie w niebezpieczeństwie, jeżeli nie od srogiego zwierzęcia, to od równie srogiego zimna nadrzewie, które wszelkiego liścia było pozbawione i gałęzie śronem okryte miało, marnie zginąć.

W téj wielkiéj niedoli prosił Pana Boga o pomoc. Swych od zimna zgrabiałych rąk nie mógł do góry podnieść; musiał się niemi drzewa trzymać. Lecz wzniósł oczy i serce swoje ku niebu. „O Najmilszy dobry Boże, rzekł, „wysłuchaj moje prożby w téj mojéj wielkiéj biedzie! Przebacz mi moję lekkomyślność i moje nieposłuszeństwo względem rozkazowi ojca mego. Nie dopuszczaj,

abym w téj nocy od zimna i mrozu zginął, albo od tego srogiego zwierzęcia rozszarpanym został. Ach już na tém drzewie dłużéj wytrzymać nie mogę. Tu na drzewie, i tam na dole, czeka mnie pewna śmierć. O Boże, wybaw mnie z tego niebezpieczeństwa! Naprowadź ojca mego na tę myśl, aby z strzelcami swoimi tu przyszedł, i to srogie stworzenie wystraszył. Przez całe moje życie będę Ci za to wdzięczny, i Twoje święte przykazania lepiéj, niż dotąd wypełniać będę.“ Modlitwa Konrada została wysłuchaną. Gdy wszyscy strzelcy wieczorem znów się poschodzili, spostrzegli, iż Konrada nie było. Ojciec pomyślał, że się u starego strzelca znajdować będzie; stary strzelec zaś rozumiał, iż u ojca został. Wszyscy strzelcy zapewniali, że go ani na jeden moment nie widzieli, i bardzo się tém zdarzeniem zmieszali. Ojciec swoim ludziom rozkazał, a gości grzecznie zaprosił, aby jeszcze raz z nim las przeszli. To w nocy nadchodzącéj nie było nic łatwego. Jednak się wszyscy natychmiast na drogę wybrali. Po niejakim czasie trafiły psy na trop wilka, i zaczęły mocno szczekać. Wszyscy strzelcy zwrócili się w owe miejsce. Ale wilk, który z daleka szczekanie tylu psów usłyszał, i zbliżanie się strzelców poczuł, wcześnie ze swego miejsca uciekł. Psy go już dogonić nie mogły, ponieważ ich za nadto wielki kawał był wyprzedził.

Ojciec i towarzysze jego zbliżali się do owego drzewa; właśnie księżyc był zeszedł. Konrad spuścił się z drzewa, przeprosił ojca i opowiedział, co go było spotkało, w jak

wielkiém był niebezpieczeństwie życia, jak się do Pana Boga modlił i jak jego modlitwa wysłuchaną została. „Chwała Bogu, że Cię znów mam,“ rzekł ojciec, i uścisnął go serdecznie. Ale w przyszłości pamiętaj lepiéj na moje ojcowskie napomnienia; teraz przekonałeś się, jak onę są mądre i w jakié dobréj myśli bywają udzielane. Ale stary strzelec surowiéj zgromił nieposłusznego Panicza. „Ci młodzi Paniczkowie, rzekł, rozumieją, iż wszystko lepiéj wiedzą, jak my starzy z siwemi włosami! Lecz jaje nie powinno chcieć być mędrsze, jak kura. Niech ten przypadak będzie Paniczowi przestrogą.“

„Ten przypadek, rzekł drugi, jeszcze dosyć pomyślny wziął koniec; ale byłoby bardzo źle mogło wypaść. Bez rozwagi co zacząć, niejednego już w wielkie nieszczęście wprowadziło.“

Ojciec rzekł: „Wy poczciwi ludzie macie słuszność. Konrad nie będzie sobie waszych mądrych rad na wiatr puszczał. Ale podziękujmy Panu Bogu, który go z tak wielkiego niebezpieczeństwa wybawił, i zawsze prozby nasze wysłucha, kiedy je w nieszczęściu jakiém do Niego wznosimy.“

3. Dobre dzieci.

Grzegórz, syn dobréj Małgorzaty, od tego czasu, jak matkę był opuścił, wiernie i gorliwie swojemu gospodarzowi służył. Do każdéj roboty brał się ochoczo i rączo, i niezmordowany był, aż ją ukończył. Przy tém zawsze był wesół i kontent, i dla każdego uprzejmy, uczynny i usłużny. Gospodarz i gospodyni lubili go, jak swoje własne dziecko, a dzieci w domu tak go kochały, jak swego brata.

Grzegórz jednego wieczora właśnie przed domem zatrudniony był wiązaniem świerkowych gałązek we wiązki do napalenia pieca. Przecinał małym toporkiem gałązki na pniu, a dzieci gospodarza zwięzywały je słomą we wiązki. W tém przyszedł człowiek ze wsi Grzegorza, i rzekł do niego: Grzegorzu! twoję piękną krowę w domu wilk rozszarpał. Twoja matka niezmiernie się smuciła i gorzko płakała. Gdy usłyszała, iż tu przechodzić będę, zléciła mi, abym Ci o tém nieszczęściu doniósł, i od niéj Cię pozdrowił. No, teraz już wszystko wiesz. Zostań z Bogiem, muszę dziś jeszcze daléj iść,“

Grzegórz zaczął rzewnie płakać; dzieci téż lamęciły. Gospodarz i gospodyni wy-

szli przed dom i pytali się: „Cóż wam to? Cóż tam macie?“ Dzieci opowiedziały rodzicom smutną nowinę, którą Grzegórz odebrał, a Grzegórz rzekł ze łkaniem: Ach, moja dobra matka będzie miała wielki żal, iż to dobre bydlę utraciła. Nasza krowa była najpiękniejsza w całéj wiosce; Wy sami nie macie piękniejszéj. Była piękna buro czerwona, miała białą gwiazdkę na czole. Tak się łyszczyła i taka była gładka, żeby się kropla wody na niéj nie była ostała. Była z najlepszego gatunku, i dawała na dzień po sześć i ośm kwart mleka. Ach, dobra dójka jest wielkiém dobrodziejstwem Boskiém. Ona moję matkę bogaciła; ale teraz będzie matka bardzo ubogą. Mleko było jéj najlepszym i prawie jedynym pokarmem; a innéj krowy sobie kupić nie będzie w stanie. Jest to dla niéj wielka bieda!“

Dobry chłopczyk poszedł z płaczem do swéj izdebki. Modlił się i rozmyślał, jakby swojéj matce mógł dopómodz. Jeszcze ze swoich zasług nic nie był wybrał. Chiał sobie za te pieniądze, ponieważ na służbę bardzo licho ubrany był przybył, nowy kapelusz i piękną kamizelkę kupić, jakie inni chłopcy we wsi nosili, i już dawno się na te ubiory cieszył. Lecz teraz już więcéj nie pomyślił o kapeluszu i kamizelce. „Ja za moje zasługi kupię kozę, rzekł do siebie, i zaprowadzę ją mojéj matce; to ją przynajmniéj z największéj biedy wydźwignie!“

Poszedł natychmiast do gospodarza, oświadczył mu swoje przedsięwzięcie i pro-

sił go, aby mu to, co dotychczas wysłużył, wypłacił. Gospodarz pochwalił dziecinną miłość Grzegorza, i wypłacił mu zasługi. Dzieci rzekły: „Ale teraz nie będziesz miał nowego kapelusza i pięknéj kamizelki.“ Lecz na to Grzegórz odpowiedział: „Ja bez nowego kapelusza i kamizelki bardzo dobrze obejść się mogę, i przytém czerstwym i zdrowym zostać; moja matka zaś bez kozy nie mogłaby żyć. Pójdę natychmiast do gospodarza pod gajem mieszkającego. Ten ma dwie piękne kozy. Może mi jednę sprzeda.“

W krótce powrócił Grzegórz smutny do domu, i rzekł: „Gospodarz mi powiedział, że jego kozy nie są naprzedaj, lecz jeżeli mu dobrze zapłacę, to mi jednę przeda. Ale żąda za jednę kozę jeszcze raz tyle, ile moje zasługi wynoszą. Więc mi moja radość na niczem spełzła. Nie wiem sobie teraz dać rady.“

„No, dzieci, rzekła gospodyni z uśmiechem, radźcież wy więc, jakby poczciwemu Grzegorzowi i jego biednéj matce można pómodz. Namyślcie się, jakbyście te pieniądze zebrać mogły. Ty, Ludwisiu, jesteś najstarsza, mów najprzód, nie przypominasz sobie nic?“ „Ej, czemu nie, rzekła Ludwisia, my te pieniądze z naszych skarbonków dołożemy.“ „Dobrze, rzekła matka, to jest piękna myśl; zróbcie to.“ Dzieci pobiegły i przyniosły swoje blaszane skarbonki. Nawet najmniejsze przyszło, i zawołało: „Moja matko, oto i moja.“ Skarbonki te były zamknięte, i górą był otwór

do wpuszczania pieniędzy.“ Matka miała kluczyki, pootwierała skarbonki i wysypała pieniądze na stół. Ale gdy oszczędzone pieniądze nie wystarczały, chciały dzieci jeszcze swoje wiązarki do tego dołożyć. Lecz matka rzekła: „Waszych wiązarków nie godzi się nikomu podarować. Co jeszcze brakuje, to ja z moich oszczędzonych pieniędzy dołożę.“ Grzegórz płakał z radości i wdzięczności. „Ach Boże, rzekł, wyście jednak są bardzo miłosierne dzieci.“ „Ej, rzekła Ludwisia, Tyś jest jeszcze daleko miłosierniejszy! Kiedy my przyodziewku potrzebujemy, to nam go rodzice sprawią; ale Ty sobie nań zapracować musisz, a jednak dajesz Twoje zasługi Twojéj matce!“

Grzegórz wziął pieniądze, i poszedł po kozę, i wszystkie dzieci poszły z nim. Przyprowadziły ją jak z tryumfem. „Patrzcie tylko, rzekł Grzegórz do gospodarza i gospodyni, jaka piękna! Jak pięknie biała z czarnemi plamami! Jakie długie jéj włosy, a jakie piękne zakręcone ma rogi; jakie bystre oczy i jaką długą brodę! Ma też wiele mleka dawać, powiedział mi gospodarz.

Grzegórz zaprowadził kozę do obory, i przywiązał ją do żłobu, a dzieci przyniosły tak wiele paszy, żeby koza nią na kilka dni była wystarczyć mogła, i Grzegórz im bronić musiał, aby jeszcze więcéj nie przynosiły.

„Jutro kozę mojéj matce zaprowadzę, rzekł Grzegórz do gospodarza, jeżeli mi pozwolicie, i jeżeli uważacie, że się wilka nie

potrzebuję bać.“ Gospodarz zezwolił na to i rzekł: „Wilka, chwała Bogu, nie potrzebujemy się obawiać. Od tego czasu, jak ciągle na niego polują, znać opuścił naszę okolicę. Nie słyszano już dawno nic o nim.“

„Więc jutro raniuteńko pójdę w drogę, rzekł Grzegórz. O jakże się cieszę, że znów matkę zobaczę! Jak się cieszę, że jéj moję dziecinną wdzięczność okazać mogę, za tak wiele dobrego, które mi w dzieciństwie okazała. Spodziewam się, że będzie miała w swojéj wielkiéj biedzie znów chociaż tylko małą uciechę.“ Dobry ten chłopiec do północy usnąć nie mógł z wielkiego ukontentowania.

4. Biedny Starzec.

Drugiego dnia, przed świtem już Grzegórz przysposobiony był do drogi. Gospodyni przysposobiła mu śniadanie, i dała mu jeszcze żywności na drogę. „A tu jeszcze masz, rzekła, bochenek chleba, kawał wędzonéj słoniny i parę mędeli lnu dla matki.“ Grzegórz czule podziękował, włożył wszystko w sakwę, wziął ją na ramię, wyprowadził kozę z chlewa, pędził ją prętem przed sobą i biegł wesoło ku domowi

Ziemia była tęgo umarzła, i lekkim śniegiem pokryta, który w przeszłéj nocy był spadł. Gdy Grzegórz prawie pół drogi miał za sobą, przyszedł na wzgórze, na którém piękna stała kaplica. Drzwi były otwarte. „Muszę rady méj matki usłuchać, do kaplicy wnijśdź i pomodlić się trochę, rzekł do siebie. Ale cóż z kozą zrobię tymczasem? Byłoby nieprzystojnie, s nawet grzechem, gdybym zwierzę chciał ze sobą wziąść do kościoła.“ Przywiązał ją więc przy drzwiach do klamki, wszedł do kaplicy i uklęknął przed ołtarzem; modlił się serdecznie i dosyć długo za swoję matkę, za swego ś. pamięci ojca zmarłego, za swego dobrego gospodarza, gospodynią i jéj dzieci, i nakoniec za wszystkich swych dobrodziejów. „Mój najłaskawszy Ojcze niebieski! rzekł téż w modlitwie, przyrzekam Ci, iż Twoje święte przykazania i dobre nauki mojéj kochanéj matki, zawsze wiernie zachowywać i podług nich żyć będę, aby się Tobie i Twoim świętym Aniołom i wszystkim dobrym ludziom spodobać. Udziel mi do wykonania tego Twojéj łaski! Szczególnie pomagaj mi, abym mojéj biednéj matce mógł dobrze czynić!“

Śmiało potém wyszedł z kaplicy. W tém ujrzał osiwiałego słabego starca, który na kamiennéj ławce przed kaplicą siedział. U nóg jego leżała wielka wiązka uzbieranych gałęzi. Ten biedny starzec opierał się na kiju, przypatrywał się pilnie kozie, i łzy stanęły mu w oczach. Grzegórz pozdrowił go mile i zapytał się: „Mój

kochany Dziadusiu, czemu się mojéj kozie z takim żalem przypatrujecie, i czego płaczecie?“

„Ach moje dziecię, rzekł biedny starzec, taką piękną kozę ja też miałem, a jéj mleko było moim najmilszym pokarmem. Ale mi ją wilk zażarł. Od czasu tego moja kuchnia źle urządzona. Muszę się teraz zupkami z wody kontentować, i do mego kawałka chleba nie mam już teraz kawałka séra. Jestem teraz daleko słabszy, niż dawniéj. Zdaje mi się, że już nie będę w stanie, téj wiązki drzewa do domu zanieść, lubo moja chatka, która tam na dole na końcu téj wioski leży, co ją tu z tąd widzisz, ledwo pare set kroków od nas jest oddalona. „Ej, rzekł Grzegórz, temu łatwo można zaradzić. Ja Wam waszę wiązkę drzewa prędko do domu zaniosę.“ Starzec nie chciał na to zezwolić. Lecz Grzegórz pamiętny na słowa swéj matki: „Dla wszystkich ludzi być ile możności uczynnym, a szczególnie nędznemu pomagać i modlić się, nie czyni żadnéj zmudy.“ Rzekł więc: „Pozwólcie mi tylko! to mi żadnéj nie uczyni przykrości; nim kwadrans upłynie, já tu znów powrócę. Koza tu przecież będzie bezpieczną? O z pewnością, rzekł starzec; pewno jéj tu nikt nie ukradnie. Za to ręczę. Ludzie w téj okolicy są poczciwi.“

Grzegórz biegł prędko z ciężarem na plecach żwawym krokiem z pagórka, a starzec szedł wolnym krokiem za nim. Grzegórz złożywszy wiązkę przed domem, wra

cał truchę wolniéj napowrót. Starzec spotkał go nie daleko ode—wsi, i dziękował mu ze łzami w oczach. Ty jesteś dobre dziecko, rzekł starzec, bo szanujesz Starość. Niech Ci Pan Bóg za Twoję obcemu ubogiemu starcowi okazaną miłość tysiącznie wynagrodzi! A to On pewno uczyni. Pamiętaj na mnie.“ Grzegórz wzruszony ścisnął starcowi rękę, życzył mu wesołych chwil na jego stare lata, i szedł z ukontentowaniem daléj, wesół, iż dobry wypełnił uczynek. „To téż była jałmużna, pomyślił sobie, można i bez pieniędzy dobroczynnym być dla ubogich.“

5. Wilk i koza.

Ledwo co Grzegórz starca był opuścił, i prawie jeszcze dziesięć kroków nie był uszedł, przybiegli chłopcy, którzy się na lodzie bliskiego strumyka ślizgali, prawie bez tchu krzycząc: „Wilk! wilk!“ Wszyscy od strachu podobnie do trupów byli bledzi. „Gdzieście wilka widzieli?“ zapytał ich Grzegórz. „Tam na wzgórzu; biegł prędko ku kaplicy! powiedział jeden z chłopców — uciekał prędko daléj i schro-

nił się z innymi chłopcami do najbliższego domu. Grzegórz się niezmiernie przeląkł. „Ach dla Boga, zawołał boleśnie i załamywał ręce, to pewno wilk moję kozę rozszarpał! O moja biedna matko! Teraz już nie wiem jak ci pómódz.“

Pobiegł na wzgórze, nie myśląc wcale o tém, iż może własne życie na niebezpieczeństwo wystawi. Lecz przybywszy na pagórek — stanął największém zadziwieniem zdjęty. Jego koza była nienaruszona, tylko przestraszona, i usiłowała się powróz zerwać i uciec. Ale gdy Grzegorza ujrzała, uspokoiła się i zaczęła beczeć, jak gdyby się cieszyła z jego przybycia. Drzwi kaplicy, które do połowy otwarte stały, były teraz zawarte, a z jednego z obu stron drzwi znajdujących się okrągłych, kratami żelaznemi umocowanych okien, wytykał wilk swój łeb. Szkło był potłukł, i mocował się ze wszystkich sił, wyłamać się z żelaznych krat. Paszczęki szeroko rozwarł, a oczy iskrzyły się od wściekłości. Ale mu się nie chciało udać, wyłamać się ze swego więzienia.

„To jest oczywisty cud! rzekł Grzegórz. Któż moję kozę wziął w opiekę i srogie to zwierzę tam zamknął? Żaden człowiek nie byłby w stanie tego uczynić. Ani też w śniegu nie widzę żadnych innych ludzkich stóp, jak moje i starca. Ale trop wilka idzie wprost do drzwi. Tylko Aniół Boży, który bez tknięcia się ziemi, na powietrzu z nieba się spuścił, mógł to dzikie zwierzę poskromić i tak łatwo je tu wprowadzić i

zamknąć, aby już więcéj ludziom nie szkodziło.“ Wzniesionemi ku niebu rękami dziękował Grzegórz najczulszém sercem Panu Bogu.

Tymczasem starzec przybył. On lament chłopców: „Wilk! wilk! usłyszawszy, chciał zobaczyć, czy jego dobroczyńcę jakie nieszczęście nie spotkało.

„Oto patrzcie cud, który się tu stał, zawołał Grzegórz. Wilk się złapał w kaplicy bynajmniéj nieuszkodziwszy mojéj kozy. Powiedzcież mi, jak myślicie, że się to stało?“ „To rzecz bardzo jasna, rzekł starzec; ja Ci to mogę tak opowiedzieć, jak gdybym tu był przytomny. Gdy wilk kozę zwietrzył i zdaleka zobaczył, leciał z chciwością zdobyczy ku niéj. Koza, która u drzwi na pół otwartych przywiązana była, widziała go, jak ku niéj leciał, uciekła więc do kaplicy. Ponieważ do drzwi, które się wewnątrz otwierają, przywiązana była, i przed wilkiem uciec chciała, ale wprost uciekać nie mogła, skręciła się na bok, i skryła się, jakby na léccе prowadzona, za otwartemi drzwiami. Wilk, któremu z ócz znikła, poleciał w chciwości krwi i ślepéj zajadłości wprost do ołtarza. Gdy go tam koza w głębi ujrzała, wyskoczyła znów natychmiast z kaplicy, pociągnęła i zamkła powrozem za sobą drzwi, do których przywiązana była. A tak się wilk złapał.“ „To więc nie masz w tém żadnego cudu, rzekł Grzegórz zmieszany, i już nie z taką wesołością, jak z początku; to się więc wszystko naturalnym działo sposobem?“

„Lubo się to naturalnie stało, rzekł starzec, jednak to zdarzenie za cud uważać można. Jest to oczywistym cudem opatrzności Boskiéj. Pan Bóg to wszystko tak zrządził. Za jego rozporządzeniem nie tylko twoja koza ocaloną została, nie tylko szkodliwe zwierzę drapieżne się w kaplicy złapało — lecz nadto jeszcze czeka Cię wielka nagroda. Bo nasz najłaskawszy Książę przeznaczył dziesięć czerwonych złotych dla tego, który to zwierzę albo złapie, albo zabije. Ta nagroda Tobie się słusznie należy. Ty jesteś istotną przyczyną, że się wilk złapał. Tyś mimo Twojéj wiedzy, sztuczną na wilka założył łapkę. Ty też z pewnością wyznaczoną nagrodę dostaniesz.“

Grzegórz się zadziwił; bo dziesięć czerwonych złotych były w owych czasach wielką summą. „O jeżeli się rzeczy tak mają, rzekł Grzegórz to ja nie tylko mojéj matce będę mógł krowę kupić, lecz mi jeszcze wiele pieniędzy zbędzie, które wszystkie dam matce Jeżeli te pieniądze dostanę, to Wam tę kozę podaruję, a wtenczas i Waszéj biedzie będzie zaradzono. Bo żeby nie Wy, wtenczas bym bez najmniejszéj obawy był kozę odwiązał, z nią daléj w drogę poszedł, a wilk gdyby kozę był zwietrzył, byłby ją rozszarpał, i mnie nawet z nią.“

Starzec podniósł oczy i ręce ku niebu i rzekł: „Miłosierdzie Boskie niech będzie uwielbione! On Ci wynagradza za to, żeś mi moję wiązkę drzewa zaniósł do mojéj

chaty. On wysłuchał modlitwę moję, i mnie w mojéj biedzie pomógł. Adorujmy więc Jego świętą opatrzność!“

6. Wynagrodzony Syn.

Gdy oba przed kaplicą na kolanach Panu Bogu podziękowali, poszedł Grzegórz na brzeg wzgórza, i patrzał na dół do wsi. Ludzie od strachu nie śmieli ze swoich domów wyjść: wypatrywali tylko z górnych okien, aby się dowiedzieć, jak się rzecz z wilkiem ukończyła. Grzegórz kiwał ręką na nich i wołał: „Przychódźcie tu! Nie macie się jaż czego bać. Wilk jest złapany i w kaplicy zamknięty.“ Wójt przyszedł z kilku najodważniejszymi mężczyznami na pagórek. Patrzeli owemi dwiema okienkami do kaplicy, i widzieli, że się wilk istotnie w niéj znajdował, i jak wściekły na ściany ku wysokim oknom kaplicy skakał. Gdy się zaś ku małym okienkom zbliżał, umykali bojaźliwie mężczyzni od okien.

„Chwała Bogu, rzekł wójt, wilk jest istotnie złapany. Jesteśmy teraz bezpieczni przed nim, i nasze bydło. Jakeście to zrobili, tego nie pojmuję. Starzec opowiedział wszystko zdziwionym ludziom. Ej,

ej, rzekli wieśniacy, któżby się to był spodział, żeby koza mogła wilka złapać!“ „Stało się tak, jak Wam już nie sto razy powiedziałem: Kiedy o wilku mowa, wilk w sieci.“ Wójt jeszcze raz krzyknął: „Bogu cześć i chwała. On pomógł. Ja natychmiast poślę konnego posłańca do Wielmożnego Pana naszego z tą dobrą nowiną. Pan Ulryk Wilczyński będzie się niezmiernie cieszył. Ale Ty młody pasterzu, musisz tu tymczasem zostać. Ty dostaniesz Twoję należytą nagrodę. Tymczasem ja o Tobie i Twojéj kozie będę miał staranie; na niczem wam zbywać nie będzie.“

Jeden wieśniak natychmiast pojechał do Pana Wilczyńskiego do Wilczyna. Rycerz właśnie siedział ze swoją żoną i synem przy obiedzie. Skoro tę nowinę usłyszał, rzucił natychmiast nóż i widelce na stół, wstał z radości od stołu i zawołał: „To wybornie! To uroczystość dla poczciwego myśliwca! Ja tam natychmiast pospieszę! Ciesz się Konradzie, Ty też ze mną pojedziesz.“ Kazał zaraz konie okulbaczyć, i wszystkich amatorów polowania we wsi zaprosić. „Tę pieczeń tu, rzekł, włóżcie mi w torbę; zjemy ją po zabiciu zwierza, w sposób myśliwski.“

Dopóki koni nie okulbaczyli i jego ludzie się nie poschodzili, kazał posłańcowi wszystko dokładnie opowiedzieć, i często podczas opowiadania wołał: „Paradnie, wyśmienicie! To będzie rodość, to zwierzę drapieżne ubić.“

Wsiadł ze swoją jazdą na koń: a wiele ciekawych ludzi szło za nimi pieszo. Rycerz przyjechał do kaplicy, a mało zważając na głębokie ukłony wieśniaków, wejrzał przez jedno okienko do kaplicy i rzekł: „Prawdziwie wilk się złapał! Tak wybornéj zwierzyny jeszcze w mojém życiu nie widziałem. Teraz się zabawa zaraz rozpocznie.“ Ustawił więc natychmiast swych ludzi w szeregi.

Wójt zbliżył się pokornie do niego i rzekł: „Mnie się zdaje, Jaśnie Panie, żeby najlepiéj było, zwierzę w kaplicy głodem umorzyć; wtenczasby z niem żadnéj nie było trudności, aniby się życie żadnego człowieka nie wystawiło na niebezpieczeństwo.“

Lecz rycerz krzyknął groźnie na niego: „Czy myślisz, że my rycérze takimi tchorzami jesteśmy jak wy? Nie, temi mojemi własnemi rękami go zabiję, od tego oszczepu ma ten niegodziwiec zginąć, jak to podług zwyczaju myśliwskiego wypada i słuszność wymaga. On mnie i moim poddanym wiele żalu narobił. Prędko! ustawcie się w rzędy, a kto ma odwagę, niech drzwi otworzy.“

Strzelec jeden, uzbrojony oszczepem, drzwi otworzył. Ale wilk niechciał wyjść „On przeczuwa, rzekł rycérz, że go nie najprzyjemniejsze przywitanie czeka. Daléj, poszczujcie psy na niego; wtenczas, czy będzie chciał, czy nie, będzie wyjść musiał. Rycerz stanął parę kroków odedrzwi, wyciągnięty oszczep trzymając w ręku. Wilk wyszedł, a rycerz przebił go

oszczepem. Zwierzę wyzionęło dużo krwi z ogromnego gardła i chrapało i rzucało się u nóg rycerza. Rycerz krzyknął z radości i rzekł: „Taki koniec niechaj miewa każdy drapieżca i rabuś. Daléj wesoło, zatknijcie zielone gałązki na wasze hełmy i czapki!“ Wszyscy strzelcy, giermkowie i chłopi natychmiast wykonali rozkaz jego, i wychwalali jego męztwo pod niebiosy.

Mnóstwo ludzi, a między nimi i kobiety i dzieci przyszło na wzgórze wilka zobaczyć, który wyciągnięty u nóg rycérza leżał. Rycérz wielce ucieszony był bardzo łaskawy. „Nieprawdaż, rzekł, póki to zwierzę żyło, niebylibyście chcieli tak blisko do niego przystąpić. Tak to, tak; taką odwagę tylko rycérze i wierni towarzysze, giermkowie mają. Przystąpcie tu bliżéj, i przypatrzcie się, co za okropne paszczęki i co za ostre zęby ma to zwierzę, co za kudłate futro i co za ogromną długość!“ Ludzie okazywali głośno swoje zadziwienie nad zwierzęciem, i nad odwagą rycérza, co go nadzwyczajnie cieszyło.

Wtedy zapytał się wojt rycérza; „Czy się Grzegórz obiecanéj nagrody spodziewać może?“ „Tak jest, odpowiedział rycérz, tę dostanie. Onci mi wpradzie zwierzę tylko przed oszczep przyprowadził; ale ja się honorem kontentować będę. On niech przyjdzie do mnie. Ja mu pieniądze zaraz wypłacę, lubo je dopiero późniéj z kasy książęcéj napowrót dostanę.

Wójt doniósł tę wiadomość Grzegorzowi, a Grzegórz rzekł do Starca; „Teraz ko-

za jest Wasza!“ i poszedł do rycérza, aby mu podziękować, a ubogi starzec poszedł z nim, i opowiedział rycérzowi, jak uprzejmym i usłużnym się Grzegórz dla niego okazał, i jak mu oprócz tego jeszcze teraz kozę podarował. Rycérz przypatrzył się starcowi dobrze i rzekł: „Ej do licha, a dy ja Ciebie znam! Tyś niegdyś był dzielnym żołnierzem i wojakiem, i służyłeś pod moją komendą. Grzegórz jest wyborny chłopiec, że ci chce kozę podarować! A ja Ci jeszcze do tego dam czerwony złoty: wypij za moje zdrowie.“

Konrad poszedł z ojcem trochę na bok i rzekł do niego: „Nagrodę, którą ten chłopczyk dostanie, tę mu właściwie książę daje. Ale i my powinniśmy coś dla niego uczynić. Gdy wówczas na drzewie w takiéj okropnéj biedzie byłem, poślubiłem, jakikolwiek dobry uczynek wypełnić. Tego poślubienia jeszcze nie wypełniłem. Jakże mój Ojcze, nie moglibyśmy matce Grzegorza krowę podarować?“

Czemu nie, owszem powiedział na to rycérz, zawołał Grzegorza do siebie, i rzekł do niego: „Kiedyś Ty starcowi Twoję kozę podarował, wtedy i ja Ulryk Wilczyński też się nie chcę pośledniejszym pokazać. Twoja matka odemnie dostanie najlepszą krowę z mojéj obory. Ty dziś u mnie na zamku przenocować musisz, a jutro rano wypłacę Ci przeznaczoną nagrodę; a mój skotarz zaprowadzi Twojéj matce krowę.“

Rycerz Ulryk pojechał ze synem konno do zamku, i przybyli tam, jak się już było znacznie ściemniło! Alwina, małżonka rycérza, siedziała przy lampce w pokoju piękną posadzką przyozdobionym i przędła. Oba opowiedzieli jéj żywo i dokładnie cały wypadek polowania. Szlachetna pani rzekła: „Wtém zdarzeniu podoba mi się najbardziéj pobożność Grzegorza, jego miłość do matki, i jego dobroczynność dla starca. Muszę téż koniecznie tego dobrego chłopczyka poznać. Konradzie, idźże mi zaraz na dół po niego, i przyprowadź mi go. Zapewno już przybył i będzie na dole w pokoju.“

Konrad w swoim zielonym myśliwskim ubiorze złotemi sznurkami i galonami obsadzonym, prowadził za rękę do pokoju nieśmiałego Grzegorza, który tylko grubym przyodziany był cwylichem. Pani nadzwyczajnie uprzejmie przywitała Grzegorza, pochwaliła go za to, iż za swoje ciężko zarobione zasługi swojéj matce kozę kupił, a gdy matce już nie była koniecznie potrzebna, takową biednemu starcowi podarował. Zadała mu wiele pytań; bo się spodziewała od tak dobréj matki, która swego syna tak dobrze wychowała, jeszcze nie jednego nauczyć. Z jego odpowiedzi była bardzo kontenta, kazała matkę kilkakrotnie pozdrowić, i odesłała go bardzo łaskawie.

Gdy się był oddalił, rzekła do Konrada: „Cieszy mnie, iż matkę Konrada twojemi pieniędzmi kieszonkowemi chcesz wspómodz. Tymczasem nie koniecznie dobrze

sobie postąpiłeś w sprawie z wilkiem. Twoja popędliwość, twoje nieposłuszeństwo nieomal Cię życia nie pozbawiło, a mnie i ojca twego w niewymowny smutek pogrążyło, gdyby się Pan Bóg nie był wdał w sprawę i wszystko ku dobremu skierował. Życzeniem mojém jest, abyś się w wspaniałomyślnych uczuciach równał owemu chłopcu w cwylichowéj kamizelce. Toby Cię więcéj ozdobiło, niż złoto na twojéj czamarce."

Do Ulryka, męża swego, rzekła: „Na nowom się przekonała, iż najpotrzebniejszą jest rzeczą, dzieci tak wychować, aby się Pana Boga bały, posłuszne i podległe rodzicom, i dobroczynne i uprzejme dla wszystkich ludzi były; i aby takiemi zostały, swoje gwałtowne namiętności poskramiać nawykały. To dla wszystkich równą jest potrzebą, czy oni żyją w biednéj chacie, czy w spaniałym dworze i czy kiedyś przeznaczeni są do prowadzenia pługa, czy oręża czy też pióra."

7. Ucieszona Matka.

Drugiego dnia po tém zdarzeniu siedziała Małgorzata przy ciepłym piecu, i przędła bardzo pilnie. Wtém przy-

padła z pospiechem do niéj sąsiadka i rzekła: „Przynoszę Wam radosną wiadomość! Wasz Grzegórz złapał wilka, i dostanie ową nagrodę, którą za jego ubicie książę przeznaczył. Ten uczciwy chłopczyk zemścił się na wilku za waszę piękną krowę, i Wy nadto więc jeszcze dostaniecie za waszę szkodę dostateczną nagrodę.“

Lecz Malgorzata potrząsając głową temu wierzyć nie chciała. „Jakżeby to być mogło? rzekła. Mój Grzegórz się nigdy polowaniem nie trudnił, i nigdy nawet jeszcze ptaszka nie zabił. On nigdy jeszcze strzały ani łuka w ręku nie miał. Jest on także jeszcze bardziéj chłopcem jak młodzieńcem; jekżeby on był mógł tak srogie zwierzę przemódz i ubić? Mnie się wydaje, iż tę bajkę tylko zmyślono, aby się ze mnie naszydzać. To mnie prawdziwie martwi, i na płacz mi się zanosi!“ Istotnie téż stanęły jéj łzy w oczach.

Sąsiadka rzekła: „To pewna, i mnie się z początku ta wiadomość podejrzana być zdawała. Lecz nasz gajowy, który się już usilnie starał tego wilka ubić, właśnie odebrał pewną wiadomość, iż się rzecz istotnie tak ma. Ten poczciwy człowiek nie mógł się jeszcze wprawdzie o istotnych okolicznościach dowiedzieć; lecz nie mało się ztąd martwi, iż jak mówi, tak gołobrody młodzik czyli chłopczyk wszystkim myśliwym nagrodę przed nosem porwał. Tymczasem, dodała jeszcze sąsiadka, chwytając już za klamkę u drzwi, dowiemy się późniéj, jak się rzecz miała.“

Małgorzata drżącemi rękoma przędła, i rozmyślała nad doniesieniem sąsiadki. Lecz im więcéj rozmyślała, tém mniéj do wierzenia podobną wydawała jéj się być ta powieść. Boleść nad krwawą zgubą swéj użytecznéj krowy, ponawiała się w sercu, i nanowo się głęboko zasmuciła. Wtém z największą uciechą na twarzy wstąpił Grzegórz do izby, i zaczął matce opowiadać, jakiém nadzwyczajném szczęściem go Pan Bóg udarował, i jak się to wszystko stało — i naliczył jéj owe dziesięć czerwonych złotych na stole. Małgorzata ledwo swoim oczom i uszom wierzyć chciała; dziwiła się, i czułém sercem Panu Bogu za doznaną łaskę dziękowała.

Grzegórz patrzał oknem na dwór, a wziąwszy matkę za rękę krzyknął radośnie: Pójdź tylko ze mną na podwórek zobaczyć, kochana matko! Nasz Wielmożny rycérz posyła Ci inną krowę, która Ci się pewno podoba będzie.“ Matka poszła ze synem na podwórek. Tu już stał dworski skotarz i trzymał piękną krowę, gdyby łanię, za rogi. „Ta krowa, rzekł skotarz, jest jedna z najpiękniejszych i najlepszych z naszego stada. Nie rad ją utracam. Moja jedyna pociecha jednak jest, że się znów do dobréj dostanie obory. Wiadomo mi bowiém, jak regularnieście Waszę krowę utraconą paśli, i jak czysto ją utrzymywaliście. Wasza krowa była najpiękniejsza w całéj okolicy — moje wyjąwszy.“

Małgorzata, która od zadziwienia jeszcze do siebie przyjść nie mogła, rzekła: „O

mój Boże, jak łaskawy jesteś! Zamieniasz smutek na wesele. Gdy to nieszczęście na mnie zesłałeś, i ja moję krowę utraciła, nie myślałam wtenczas o tém, że mi przez to większe szczęście zgotować chciałeś. Lecz o doczesnych rzeczach nie chcę wcale nic mówić. Doczesna szkoda posłużyła mi na wieczne błogosławieństwo. Bieda nauczyła mnie gorliwiéj się modlić, i serdeczniéj moję nadzieję w Tobie Najłaskawszy Boże pokładać, a Tyś nadziei mojéj nie omylił.“

Do skotarza rzekła: „Ja się niezmiernie cieszę. Uznaję też więc, że Wam znaczną dać winnam nagrodę Przed kwadransem jeszcze ledwo parę miedzianych groszy w domu miałam, ale teraz mogę Wam dać cały czerwony złoty.“

„Dajcie temu pokój, rzekł poczciwy skotarz; mój pan mi surowo zakazał, pod utratą mojéj służby, najmniejszą od Was przyjąć nagrodę. Maja łaskawa pani tymczasem dała mi jeszcze raz tyle na piwo, jakbym się słusznie od Was był mógł spodziewać. Zostajcie tu z Bogiem, niech Wam Pan Bóg poszczęści z waszą krową.“

Gdy skotarz odszedł, wprowadziła Małgorzata z Grzegorzem krowę do obory, założyła jéj dużo siana, którego w dostatku miała i poszli potém do izby. Małgorzata siedząc na swoim stołku rzekła: „Radość ta weszła mi równie jak wielkie przelęknienie we wszystkie członki; czuję słabość i niemoc w mojém ciele!“ Grzegórz musiał jéj jeszcze raz wszystko obszerniéj opowiedziec. Przysłuchiwała mu się bardzo pilnie i uważnie, i często okazywała swoje ukon-

tentowanie z jego postępowania. Na końcu rzekła: „Mój kochany Grzegorzu! Tyś wiernie zachował słowa matki. Tyś Pana Boga kochał, bliźniemu dobrze czynił i twojéj matce wielką radość zrobił. Czyń tak zawsze. Kto Pana Boga miłuje, słucha Go, i nadzieję swoję w Nim pokłada, rodziców swych szanuje, nikogo nie krzywdzi, lecz przeciwnie wszystkim ludziom tylko dobrze czyni, z tego się Pan Bóg i wszyscy ludzie cieszą i dobrze mu się powodzić będzie w tém i przyszłém życiu.“

Co mu matka przepowiedziała, to się téż istotnie sprawdziło. Został poczciwym, majętnym i bardzo szanowanym rólnikiem. Ale i Konrad został nie tylko walecznym rycérzem, lecz co jeszcze daleko ważniejszą jest rzeczą, bardzo szlachetnym, a więc słusznie powszechnie wielce poważanym obywatelem.

Podanie tego zdarzenia jeszcze na końcu przeszłego wieku utrzymywało się między ludem, i zapewno jeszcze dotąd nie wygasło zupełnie z pamięci. Wilczyn już dawno tak spustoszał, iż ani śladu po nim nie zostało, a teraźniejsza wieś Wilkowyja, blisko Jarocina, słabą tylko odnawiać czytelnikowi będzie jego pamiątkę. Idąc bowiem z Żerkowa do Jarocina jeszcze dziś kościółek w Wilkowyi widzieć można, który późniéj niezawodnie dla wygody, zamiast kaplicy na pobliskim pagórku, zbudowany został.

III.

Powódź nad Renem.

1. Okropna noc.

Będzie temu blisko sto lat, jak w jednéj bardzo wesołéj wiosce nad Renem pewny żył winogrodnik, imieniem Marcin Braun. Był to pobożny, poczciwy i bardzo pracowity człowiek; ale równie pobożna, cnotliwa i pilna też była żona jego Otylia.

Dom Marcina, ostatni we wsi, stał nad samym brzegiem rzeki. Ten pracowity człowiek, cały nagle spadzisty i skalisty pagórek, który się daleko w rzekę ciągnął, od samego spodu aż do wierzchu winną macicą zasadził, która wyborne wydawała winogrona. Otylia zaś korzystając z łąki, która się długi kawał nad Renem ciągnęła, a z trzech stron chróstem, wysokiemi ol-

szami i topolami opasana była, założyła blichę, a swoją pilnością i staranością tak się jéj płótno pięknie bieliło, iż wszystkie gospodynie ze wsi i nawet z okolicy swoje płótno do niéj na bielnik oddawały. Takim sposobem zarabiali sobie ci poczciwi ludzie codziennie na chléb i potrzeby życia. Oprócz tego wydawała łąka tyle paszy, iż na dwie krowy wystarczała. Wielki kasztanowaty pudel pilnował przez całą wiosnę i lato płótna na bielniku; w jesieni, kiedy winogrona dojrzewały, pilnował winnicy, i przez cały rok, szczególnie w długich nocach zimowych strzegł domu i podwórza.

Marcin i Otylia żyli tu bardzo szczęśliwie i wesoło w zgodzie i miłości. Ale ich największą radością i największym skarbem na ziemi były ich pięcioro dzieci, z których najmłodsze jeszcze w kolebce sypiało. Ci dobrzy rodzice nie przestawali na tém, aby swoje dzieci żywić i przyodziać, lecz największém ich staraniem było dzieciom swoim dać dobre wychowanie. Oboje, ojciec i matka, usiłowali się, aby je od najpierwszéj młodości do pacierza i pracy przyzwyczaić. „Modlitwa i praca, mawiał Marcin, czynią nas użytecznymi dla tego świata i zdatnymi dla nieba.“ Ci pobożni i pilni rodzice nie potrzebowali téż żadnéj szczególnéj nauki o wychowaniu, aby swoje dzieci do pobożności i do pracowitości przyzwyczaić. Przykład rodziców czynił większe na nich wrażenie, jak ich mowy; dzieci były zupełnie rodzicom podobne; one nie wiedziały i nie znały inne-

go sposobu życia. Nad całym Renem nie znajdowała się może żadna szczęśliwsza i weselsza familia.

Lecz ci dobrzy i szczęśliwi ludzie w krótkim czasie wielkiego doświadczyć mieli nieszczęścia. Przypadła taka ostra i ciężka zima, jak jéj nikt nie pamiętał. Niezmiernie głęboki śnieg pokrywał góry i doliny, i mróz był okropny. Rzeka Ren była na łokieć grubym lodem pokryta. Obawiano się, iż gdy lód puści, wielka powódź nastąpi, i wiele nieszczęść i szkody narobi. Nagle nastąpiła mocna odwilż, lecz niespodziewano się jeszcze żadnego bliskiego niebezpieczeństwa. Marcin leżał w nocy ze swoją żoną i całą familią w głębokiem śnie pogrążony. Około północy przebudziło go nagle dzwonienie dzwonów; kilka razy strzelono; usłyszał ogromny szum wody. Zerwawszy się spiesznie z łoża, ubrał się i wyszedł ze sypialni, aby zobaczyć, na co się zanosiło. Ale już tyle wody do izby i sieni było naciekło, iż w niéj prawie pod kolana brodzić musiał; a gdy drzwi od sieni otworzył, takim gwałtem woda się we drzwi waliła, że go omal nie wywróciła. Pobiegł więc szybko do sypialni i wołał: „Ach dla Boga Otylio! ratujmy najprzód nasze dzieci!“ Otylia jeszcze snem znużona, drżąca od strachu okryła się najpotrzebniejszą odzieżą. Oboje rodzice chcieli się ze swemi dziećmi na winną górę ratować; ale wysoko wezbrana woda z takim impetem ich porywała, iż tego już żadnym sposobem wykonać nie mogli. Starali się na inny

pagórek na przeciwnéj stronie wsi dostać; lecz noc była tak ciemna, iż na krok daleko przed sobą nic widzieć nie mogli. Księżyc już dawno był zaszedł, a gęste chmury zasłaniały gwiazdy na niebie. Oprócz tego rzęsisty deszcz padał, i ogromny wiatr okropnie szumiał. Głęboka woda waliła się we wsi i pokrywała wszystkie drogi i ścieszki. Biedni rodzice za każdym krokiem obawiali się w okropnych potokach życie utracić. Dzieci, które od wyrzekających rodziców nagle ze snu przebudzone zostały, płakały i krzyczały co gardła miały. We wszystkich domach odzywały się krzyki i narzekania.

Tymczasem pokazało się w przeciwnym końcu wsi kilka pochodni, a ponure ich światło okazało wszystkim ogromne nieszczęście, o którém dotąd tylko słyszeli, w całéj okropności. Stami natężali ludzie wszystkie siły swoje, aby ujść okropnéj śmierci w gwałtownych potokach. Wszędzie, gdzie tylko oczy spojrzały, nie było nic widać, jak nędzę i nieszczęście. Tu przy nizkich oknach małéj chatki, stała narzekająca matka ze swemi przeraźliwie płaczącemi dziećmi, i podawała jedno po drugiem ojcu oknem, aby je ratował, lubo on aż pod pas w szumiącéj wodzie stojąc, sam się ledwo na nogach utrzymać zdołał. Tam dorośli synowie i córki wynosili chorą matkę z domu, aby ją z powodzi wszystko topiącéj wyratować. Biedni ci ludie byli w największém niebezpieczeństwie wszyscy razem w potokach utonąć. Lecz kilku mężnych i lu-

dzkich mężczyzn przybyło im na pomoc, aby ich ratować.

Otylią na każdém ręku jedno dziecko niosącą woda obaliła, a jéj mąż równie dwojgiém dzieci obarczony, nie mógł jéj żadnéj dać pomocy. Ale dwóch krzepkich mężczyzn przybiegło jéj na ratunek, wyratowali szczęśliwie matkę i dzieci z wody, i wyprowadzili wszystkich na bezpieczny pagórek. Tu pod świerkami wzniécili wielki ogień, aby się wszyscy, co się szczęśliwie z wody wyratowali, osuszyć mogli.

Jak Otylia prawie bez tchu i bez zmysłów na pagórek przybyła, i cokolwiek od przelęknienia do siebie przyszła, wtedy spojrzała z czułością na swoje dzieci i przeraźliwie zakrzykła: „Gdzie moje najmłodsze dziecię, Kasperek?“ Dziecko w kolebce przy łóżku matki leżało. Woda była się tak nagle do sypialni wcisła, iż kolebka natychmiast się podniósła i ze swego miejsca odpłynęła. Matka wstawszy w ociemku z łoża, natychmiast macała ręką, szukając dziecka w kolebce, ale kiedy kolebki na swojém miejscu nie znalazła, pomyśliła, iż zapewno mąż dziecko z kolébką zabrał; myślała więc tylko jeszcze o ratowaniu drugich dzieci. Teraz, gdy swój błąd poznała, załamywała ręce nad głową, i płakała i narzekała tak rzewnie, żeby się kamień był nad nią zlitował. Chciała się natychmiast wybrać i wprost przez potoki do swego domu się wrócić, aby swoje kochane dziecię jeszcze srogiéj wydrzeć śmierci. Lecz mąż ją zatrzymał i rzekł: „Zostań tu,

moja Otylio! pewnobyś się już do domu naszego nie dostała. Potoki za nadto gwałtownie porywają i oprzećbyś im się nie zdołała. Ja sam zobaczę, czy kochane dziecko jeszcze będę mógł od pewnéj śmierci uratować. Nasi wierni sąsiedzi będą mi pomagali.“ „Tak jest, to chętnie chcemy uczynić! odezwało się zaraz dwóch mężczyzn, którzy już Otylią z jéj dziećmi byli z wody wyratowali. W długie tyczki opatrzeni, aby niemi mogli drogę przed sobą doświadczać i gwałtownym potokom się oprzeć, wybrali się natychmiast w drogę, a jeden z nich niósł pochodnię zapaloną.

Otylia chciała się za nimi puścić. Ale niewiasty, które się koło ognia były zgromadziły, zatrzymały ją gwałtem od jéj przedsięwzięcia. „Bądź tylko cierpliwa, rzekły, i zostań tu, poszłabyś na Twoją pewną śmierć. Ci mężni i odważni mężczyźni z pewnością dziecię Twoje z wody wyratują, jeżeli jeszcze jakiekolwiek będzie podobieństwo.“

Wszyscy na pagórku znajdujący się ludzie patrzeli z drżącemi sercami za tymi trzema mężczyznami, aż im pochodnia za jednym domem z ócz zniknęła. Wszyscy jeszcze długo patrzeli w ponurą ciemność; ale już nic nie ujrzeli; tylko okropny słychać było szum gwałtownych potoków i wiatru, a od czasu do czasu łoskot zwalających się budynków. Okropnie to było dla tych dobrych ludzi, i wszyscy wznieśli ręce do Boga i modlili się wspólnie: „O Boże! zlituj się nad tymi dobrymi

ludźmi i nad biedném dzieckiem! Weź ich Ty w Twoją opiekę, aby nie zginęli. Ty ich jedynie bowiém od śmierci zachować możesz!“

2. Nowy smutek.

Otylia z największą obawą oczekiwała powrotu swego męża i jego wiernych towarzyszów. Już przeszło godzina była upłynęła, a jeszcze ich ani widać ani słychać nie było. Strach Otylii co moment się powiększał. Nie daleko od ogniska uklękła pod jednym świerkiem, trzymając jedno dziecko fartuchem odziane na ręku; drugie, imieniem Grzegórz, stało w koszulce i boso koło niéj, i drżało na całém ciele od zimna. Otylia modliła się ze wszystkich sił duszy swojéj, aż pot na jéj czole wystąpił. Mały Grzegórz, który to w blasku ognia spostrzegł, rzekł w swojéj dziecinnéj prostocie. „Moja Matko, czemu się Ty pocisz, a mnie zimno?“ Matka zachęcała go i jego tylko o rok od niego starszą siostrzyczkę Maryannę, do modlitwy, oboje wznieśli swoje rączki ku niebu. Nakoniec przyszedł ojciec — z smutną twarzą i zma-

czany aż pod szyję od wody. Jeden z jego towarzyszów rzekł: „Niepodobno już było do Waszego domu dostąpić, droga sąsiadko! Woda jest za głęboka i za bystro płynąca. Weszliśmy jak widziec możecie, aż pod szyję w wodę, i bylibyśmy się nieomal wszyscy trzéj utopili.“ Drugi dodał: Nie traćcie tymczasem jeszcze waszéj nadziei; kilku poczciwych mężów, których domy mniéj w niebezpieczeństwie były, przybiegli swoim sąsiadom na pómoc. Oni, nim się woda jeszcze tak wysoko podniósła, z latarniami do domów sąsiedzkich pobiegli, i wiele ludzi i sprzętów wyratowali. Może też kolebka i Wasze dziecię się między niemi znajdują.“ Istotnie przybywali jeszcze ciągle ludzie z rozmaitemi sprzętami na pagórek. Lecz kolebki widnąć nie było; nikt o dziecku nic nie wiedział.

Okropna noc nakoniec powoli ustępowała przed zbliżającym się dniem. Wiatr i deszcz ustały i chmury się rozeszły. Gwiazdy, które gdzie niegdzie przez rozpierzchające chmury się przedzierały, tylko jeszcze bardzo blado świeciły; pierwszy brzask jutrzenki nad horyzontem się pokazał — lecz między nieszczęśliwymi ludźmi, którzy się przy ogniu byli zgromadzili, powstało okropne narzekanie; bo od większéj części ich wioski już nic widnąć nie było. Dom poczciwego Marcina i wiele innych jeszcze były potoki obaliły i porwały; wiele domów stało krzywo z pochylonemi dachami i zapowiadały blizkie swoje rozwalenie. Ludzie narzekali na utratę sprzętów i ma-

jątku, lecz Otylia opłakiwała stratę dziecka. „Mniejsza o to, żeśmy wszystek nasz majątek utracili! Wszystko bym za nic uważała, gdybym tylko znów moje kochane dziecko miała! I ojciec więcéj się o to frasował, że dziecko utracił, jak o to, iż przez to nieszczęście zubożał.

Uspokoił się tymczasem i rzekł, podniosłszy nabożnie oczy ku niebu: „Pan dał, Pan wziął, imię Pańskie niech będzie błogosławione!“ Zwróciwszy się potém do swojéj żony, rzekł ze łzami w oczach: „Moja najdroższa Otylio, poddaj się woli Pana Boga! Stało się, i już się nie da odmienić. Wszystko, co Pan Bóg czyni, jest dobrem. Podaruj Mu Twoje kochane dziecko, u Niego w niebie jest najlepiéj schowane.“ Matka przestała narzekać, płakała łagodniéj i rzekła: Niech się dzieje wola Boska!“ Dzieci, które także z matką bardzo wiele były płakały, otarły łzy, a mała Marynia rzekła: „Już też płakać nie będziemy. Nasz mały braciszek jest teraz pięknym aniołkiem w niebie. Tam daleko lepiéj mieszkać; bo tam nie masz żadnych powodzi!“

Mały Grzegórz rzekł: „Toć prawda! Ale to jednak wielkie jest nieszczęście, że się nasz mały braciszek utopił. I szkoda naszych pięknych dwóch krów! Ale jeszcze bardziéj szkoda naszego wesołego pudla! Ten się też utopić musiał, boby tu z pewnością już był przyszedł! Prawie mi go jeszcze bardziéj żal, jak braciszka!“

„Jak też to możesz tak głupio gadać?“ rzekła Marynia. „Jak ty to rozumiesz?“

„Ej, rzekł chłopczyk, jakże to mam rozumieć! braciszek jest teraz w niebie: ale biedny pudel nie może przyjść do nieba.“ Tak dzieci sobie rozmawiały, a przytomni, co im się przysłuchiwali pomimo swego smutku mimowolnie się uśmiechnąć musieli.

Tymczasem przybyło z poblizkich wiosek i osad, które wyżéj leżały, i nic od powodzi nie były ucierpiały, kilkoro ludzi, przynieśli nieszczęśliwym żywności i przyodziewku, i oświadczyli swoję gotowość, przyjęcia ich tymczasowo do swoich domów. Była to dla wszystkich wielka pociecha. I Marcin się bardzo ucieszył, i rzekł: „Ja z uprzejméj oferty sąsiedzkiéj tylko tak długo korzystać będę, aż się osuszymy i od biedy przyodziejemy; a wtenczas wyprowadzę się niebawem do brata mego, który tylko o kilka mil tu ztąd na górach mieszka. Wy, kochani sąsiedzi nie macie dla tylu ludzi dosyć miejsca; lecz mój brat ma obszerny dom, w którym mi i moim dzieciom z pewnością kawałek miejsca ustąpi. Skoro lepsza nastąpi pogoda, i powietrze wiosenne, powrócę, i będziemy sobie wiernie pomagali, nasze zburzone domy postawiać. Pocieszajcie się! Jeżeli my tylko wiernie naszę powinność czynić będziemy, to nam też Pan Bóg swojéj pomocy nie odmówi! Pamiętajcie na moje słowa, iż nam to wielkie nieszczęście nakoniec wszystkim wielkie może zjednać błogosławieństwo!“

3. Wierny pudel.

Skoro Marcin z Otylią w przeszłéj nocy swój dom byli opuścili, przełamały zburzone potoki wszystkie ściany, które tylko wierzbowemi wiciami wyplecione i gliną wylepione były, zrobiły sobie szerokie łoże przez środek domu, i porwały z sobą wszystkie sprzęty domowe. Tylko mocne słupy węgielne na rogach, które jedyną moc budynkowi dawały, wstrzymywały go jeszcze przez niejaki czas od upadku. Gdy się dom obalił i spłynął, było podług mniemania utonione dziecko już przeszło milę na rzéce w kolebce odpłynęło. I tam powódź była bardzo wielka. Wszystkie wsie i folwarki, które trochę niższe miały położenie, zalane były wodą, a wiele ludzi przyszło w niebezpieczeństwo życia, i utracili cały swój majątek. Kolebka tymczasem płynęła koło jednéj wsi, która na pagórku leżała i od pustoszącéj powodzi bezpieczną była. Mieszkańcy wioski ujrzeli z największém podziwieniem, jak rozmaite sprzęty domowe, jako to stoły, ławki, beczki, skrzynie; to koło młyńskie, to znów nawet

cały dach pokryty słomą, na potokach rzéki płynął. Kilku chłopców poszło aż nad sam brzég rzéki, aby się wszystkiemu z bliska przypatrzyć. Naraz zawołał jeden z nich, który bystre miał oczy: „Ej patrzcie tylko, tam na środku rzeki płynie kolebka!“ Inny chłopiec, który równie dobre miał oczy, krzyknął: „Ach przebóg! patrzcie tylko, pies płynie za nią, i usiłuje ku brzegu ją przyciągnąć.“ — „Prawda, rzekł trzeci, ale biedne psisko nadaremno się sili; zdaje się już być bardzo zmęczone, a potoki rzeki są nadto gwałtowne, i nawet wkoło niego płynące kry lodu mu przeszkadzają.“ — Kilku ludzi stało nad brzegiem rzeki, którzy zajmowali się wyciąganiem mimo płynących beczek, skrzyń i innych rozmaitych sprzętów domowych, które hakami, na długich tyczkach przywiązanemi, łapali i z wody wyciągali. Ieden z nich, młody rybak, ujrzał także kolébkę i zawołał: „Dziecko się z pewnością jeszcze w kolébce znajdować musi, boby wierne psisko mało co dbało o próżną kolébkę! Daléj przyjaciele, ratujmy dziecko! Niech nas pies nie zawstydza!“

Ten odważny człowiek mimo największego niebezpieczeństwa, prędko wskoczył w czołno, a dwóch innych rybaków poszło za jego przykładem. Dojechali szczęśliwie do kolebki, zobaczywszy dziecko w niéj, wstawili je z kolebką w czołno, i przywieźli je szczęśliwie do brzegu.

Mnóstwo ludzi zgromadziło się koło kolébki, aby biedne dziecko zobaczyć. Mię-

dzy stojącemi ludźmi nad brzegiem, znajdował się także bogaty kupiec, który winem handlował, imieniem Blank, który ze swoją żoną też do brzegu rzeki był przyszedł zobaczyć, jakie spustoszenia woda uczyniła. Żona jego też wyratowane dziecko widzieć chciała. Na prośbę pana Blanka natychmiast ustąpili jéj ludzie miejsca. „Ach wielki Boże, rzekła pani Blank, nachyliwszy się nad kolébkę, co za miłe dziecię! A patrzcie tylko, jak smacznie jeszcze śpi, nic o tém nie wiedząc, w jak wielkiém znajdowało się niebezpieczeństwie, i kto, i jak je wyratował. Prawdziwie oko Wszemocnego Boga czuwało nad tém dziecięciem.“

Téj pani było przed parę tygodniami jedyne dziecko umarło. Zwróciwszy się do swego męża rzekła: „Oto patrz tylko Danielku, jak to dziecko na włos podobne jest naszemu zmarłemu dziecku! Nawet w latach zdaje mu się równać. Ja więc myślę, iż nam Pan Bóg, który nam nasze dziecko zabrał, to za nie przysłał! Jak Ty myślisz, czy nie mam tego dziecka wziąść do siebie, i jeżeli rodzice jego w wodzie się potopili, albo ich się dopytać nie będzie można, za swoje przyjąć i wychować?“

Pan Blank uśmiechał się uprzejmie, kiwnął głową i rzekł: „Zgoda, uczyń jak Ci się podoba! Niepowinni my mniéj miłosiernymi być jak ci poczciwi mężowie, albo to miłosierne psisko!“

Wszyscy na okół stojący ludzie cieszyli się z ludzkich uczuć pana Blanka i

jego miłéj małżonki, nawet niektórym zajaśniały łzy radości w oczach, i mówili jeden do drugiego: „Tu się pięknie przysłowie sprawdziło: „Pan Bóg obdarza swoje dzieci szczęściem, kiedy śpią.“ Kiedy Pan Bóg dzieci osieroci, pobudza litość w sercach ludzi, którzy potém miejsce rodziców u nich zastępują.“

Owi rybacy, którzy tylko o ratunku dziecka myśleli, nie mieli najmniejszego baczenia na psa. Ale i wierny pudel przypłynął do brzegu, i otrząsł się silnie parę razy z wody, iż ludzie przed pryskającą wodą uciekali. Pies potém zaczął od radości szczekać, merdać ogonem i skakać na jednego i drugiego rybaka, jak gdyby im za wyratowanie dziecka chciał dziękować. Pan Blank rzekł wtenczas: „Kiedy ten dobry pies tak wdzięczny, nie powinni też ludzie mniéj być wdzięcznymi!“ Wyjął ze sakiewki sześć dukatów, chcąc każdemu rybakowi dać po dwa. Lecz oni pieniędzy przyjąć nie chcieli. „Cośmy uczynili, rzekli, tośmy uczynili z miłości chrześciańskiéj, a nie dla nagrody! Pan Blank powiedział na to: Jast to bardzo pięknie, iż za waszę przysługę żadnéj nie chcecie przyjąć nagrody, lecz odemnie nie byłoby to pięknie, gdybym tę małą nagrodę, którą Wam ofiarowałem, miał dla siebie otrzymać. „Ow, który szklanki wody nie zostawi bez nagrody, którą w miłości najbiedniejszemu podajemy, z pewnością też nie chce, żebyśmy dobre wspaniałe uczynki bez nagrody zostawiali.“ „Je-

szcze raz Was proszę, weźcie, co Wam z wesołém sercem w imieniu ludzkości daję, którejście wielką przysługę uczynili.“

„No jeżeli tak, rzekł młody rybak, to pieniądze przyjmujemy, wspomożemy niemi naszych biednych braci w pobliskiéj wiosce. Oni w téj powodzi wielką szkodę ponieśli!“

Pies tymczasem przez natłok ludzi był drogę znalazł do dziecka. Od jego głośnego szczekania przebudziło się, i zaczęło płakać. Pani Blank miłosierdziem ujęta, wzięła je na rękę i pocałowała. Dziecko oglądywało się ciekawie swojemi miłemi oczkami, jak gdyby czego szukało. „Zapewno szukasz twojéj mamy, rzekła pani Blank; ach Pan Bóg wié, gdzie ona jest, i czy we wodzie śmierci nie znalazła! Ach, nie płacz! Ja ci odtąd będę matką.“ Zaniosła je do domu swego, który był bardzo piękny i wielkim opasany ogrodem. Kolebkę zaniósł jéj jeden z rybaków do domu; a wierny pies poszedł z nimi bez wabienia.

4. Miłe obchodzenie się z dzieckiem tych nowych rodziców.

Pani Blank wzięła dziecko na swój pokój i nadewszystko starała się, aby do-

stało co do jadła. Uwijała się sama po domu, aby je jak najlepiéj zaopatrzyć. Dawała mu srebrną łyżeczką z najpiękniejszéj mąki przennéj ugotowaną papkę. Potém owinęła dziecię w najcienssze białe płótno, różowemi wstążeczkami jedwabnemi obrąbione, i zaniosła je do Pana Blanka na jego bióro. „Patrz tylko mężulku, rzekła, co za prześlicznego chłopyśka z kędziórkami, jasnemi oczkami niebieskiemi i różowemi policzkami nam Pan Bóg podarował? Jak świeży i zdrowy wypatruje! Ale teraz jeszcze jednę rzecz mamy do rozwagi! Ponieważ z obu stron Renu sami dobrzy chrześcianie mieszkają, a dziecko już kilka miesięcy stare być się zdaje, nie można o tém wątpić, żeby nie miało być ochrzczone. Ale to wielka szkoda, iż imienia tego hożego i miłego chłopczyka nie znamy. Musiemy mu więc koniecznie jakie imię dać. Więc powiedz, jak mu ma być imię?“

Nazwij go Mojżeszem! rzekł Pan Blank; bo jak Pan Bóg nad Mojżeszem leżącym w koszyczku ze sitowia uplecionym czuwał, tak téż nad kolebką tego dziecięcia czuwał. Bo jak owo dziecko z wody zostało wyratowane, tak téż i to. Więc imię Mojżesza jest najprzyzwoitsze; to dziecku damy.“

Nie, nie kochanku! rzekła pani Blank; na to ja nie pozwalam. To imię żydowskie nie jest między chrześcianami w używaniu. Nazwiemy dziecię Danielem. Tak Tobie imię, i tak téż imię było owemu miłemu dziecku, które nam tak prędko zawczesna śmierć wydarła. Już dla tego samego imie-

nia, będzie mi dziecko jeszcze raz tak miłe.“

Pan Błank uśmiechał się, że jego żonie nie przyszło na myśl, iż Daniel też żydowskie jest imię. Tymczasem rzekł tylko: „Dobrze, niech diecku będzie imię Daniel! I to jest piękne stósowne imię. Jak Pan Bóg Daniela nienaruszonego z jamy lwów wybawił, tak też to dziecko z oczywistego niebezpieczeństwa życia wyzwolił. Daj Boże, żeby to dziecko też tak w pobożności, mądrości, i zupełném zaufaniu w Bogu i ścisłém posłuszeństwie dla przykazań Boskich wzrastać chciało, jak ów młody Daniel!“

Tę mam nadzieję, rzekła pani Blank, przypatrując się z upodobaniem dziecku; z pewnością też tak pięknie i mile wzrastać będzie, jak Daniel! — Pójdź tylko kochany Danielku, rzekła do dziecka, ja ci miękuteńką i śliczną pościółkę z poduszek przysposobię, muślinem powlekę i cienkiemi koronkami obszyję; wszystkie owe piękne czapeczki, pończoszki i sukienki, które sobie dla mego zmarłego dziecka przysposobiłam, masz teraz ty nosić i odtąd twoją zupełną być mają własnością. Ja cię niemi ślicznie ustroję.“

Myślmy raczéj o tém, rzekł pan Blank, jakbyśmy dziecko najlepiéj pobożnie i po chrześciańsku wychować mogli; to mu daleko będzie pożyteczniéj, jak wszystkie owe błyskotki, któremi dziecko stroić zamyślasz.

„Słusznie mówisz; do tego się wspólnie przykładać będziemy!“ odpowiedziała

pani Blank; podała mu na potwierdzenie rękę, i poszła z dzieckiem do swego pokoju.

Wierny pudel wszędzie za dzieckiem chodził, gdziekolwiek się z niém obrócili, a ujrzawszy je już w bezpieczeństwie, odpoczywał sobie ze swoich długich i ciężkich trudów. Dostawszy cokolwiek pokarmu, wyszedł z domu, przepłynął Ren, leciał nad brzegiem w górę rzeki i zniknął.

„Zobaczysz, Hildegurdo, rzekł pan Blank do swojéj małżonki, iż nie długo Twego kochanego wychowańca miéć będziesz. Nie wątpię bowiem o tém, że pudel powrócił do rodziców dziecka, i przyprowadzi ich tu może ze sobą!“

Westchnęła pani Blank. „Ach Boże, rzekła, mogę sobie kłopot dobrych rodziców wystawić! Wiemcić ja to z doświadczenia jaki ból utrata kochanego dziecka sprawia. Oddałabym więc chętnie dziecko zasmuconym rodzicom. Byłoby mi jednak bardzo przykro, gdybym je znów utracić miała!“

„Zobaczymy, co nam czynić wypadnie, rzekł pan Blank Czekać wprzód będziemy powrotu psa, który niezawodnie sam nie przyjdzie.“

Gdy trzy dni późniéj pan Blank ze swoją żoną, która dziecko trzymała na łonie, na kanapce siedział i mile rozmawiał, przyszedł niespodzianie pudel do pokoju, i powitał dziecko, pana Blanka i żonę jego radośném szczekaniem i merdaniem ogona. Ale wnet znów smutnie głowę spuścił, i zdawał się być bardzo smutny; odtąd jednak nie pokazywał już najmniejszéj chęci, od-

dalenia się od domu. „Ztąd wnoszę, rzekł pan Blank, że pies rodziców dziecka już nie znalazł, i zapewno w téj ogromnéj powodzi zginęli. Tego dobrego psa odtąd nazywać będziemy Wierny, ponieważ on swoję powinność jako wierny stróż domowy tak wiernie wypełnił. My téż więc oboje obowiązki wiernie wykonamy, któreśmy przyjmując dziecko dobrowolnie na siebie włożyli! Damy mu takie dobre wychowanie, jakie mu tylko dać będziemy mogli!“

Jakkolwiek to wychowanie różniło się od owego, któreby byli rodzice dziecku dać mogli, to jednak w głównéj rzeczy nie było istotnie żadnéj różnicy. Pan Blank był mąż, któremu religia szła nadewszystko; niezmordowany był w swojéj pracy, a dla swojéj rzetelności i dla swego we wszystkich stósunkach życia godnego postępowania, powszechnie uważany był za wzór szlachetnego obywatela. Jego żona podobna mu była w prawdziwéj pobożności; od świtu aż do późnéj nocy trudniła się gospodarstwem domowém, jako wzór dobréj gospodyni, a szczególniéj okazywała się miłosierną dla ubogich i nędznych. Przysłowiem téż tych małżonków było: „Boga wzywaj rąk przykładaj.“ Nigdy nie zaniedbali nabożeństwa domowego; zazwyczaj w tenczas pan Blank głośno czytał modlitwę z książki od nabożeństwa. Poranne i wieczorne pacierze zawsze wspólnie mówili, równie téż modlitwy przed jedzeniem i po jedzeniu. W niedziele i Święta musieli wszyscy kupczykowie i domo-

wnicy na wielkie iść nabożeństwo do kościoła. Przy obiedzie rozmawiał pan Blank z nimi o kazaniu. Nigdy inaczéj, jak tylko z największém uszanowaniem mówił o Bogu i obrządkach religijnych.

Takim sposobem już rychło pobożne uczucia dla świętéj Religii naszéj w sercu małego Daniela zaszczepione zostały. Prace, do których chłopca przysposobiali, były istotnie zupełnie innego trybu, jak wiejskie zatrudnienia w którychby go rodzice w domu byli ćwiczyli; musiał się wszystkiego uczyć, co kupcowi może być użytecznem. Lecz pilność i ścisły porządek, które pan Blank wymagał, były sobie w obu miejscach równe. Chłopiec odwiedzał regularnie powszechne nauki religijne, i odwiedzał dobrze urządzoną szkołę miejską. Oprócz tego kazał mu pan Blank jeszcze od najbieglejszych nauczycieli w mieście osobne godziny prywatne udzielać w języku francuzkim, jeografii, historyi naturalnéj, historyi powszechnéj.

Oboje małżonkowie jednozgodnie działali na wychowanie chłopca, jak być powinno, kiedy z dziecka ma być co dobrego. Powaga ojca naprawiła, coby łagodność i niestałość matki była zepsuć mogła; przeciwnie téż łagodność matki łagodziła surowość ojca. Daniel dziecinném uszanowaniem i bojaźnią przejęty był dla niego, matkę zaś z całego serca kochał. Bojaźń wstrzymywała go od rozpusty i swawoli, miłość zachęcała go do wszystkiego dobrego.

Daniel wyrastał na milego i pięknego młodzieńca, okazywał wyborne talenta, i ze wszystkich uczniów w szkole najbardziéj się odznaczał, bo się bardzo pilnie uczył i wszystko z ochotą czynił, cokolwiek się jego mniemanym rodzicom podobało i radość sprawiało. Oboje go też kochali jak swoje własne dziecko. On też w saméj rzeczy rozumiał, że istotnie był ich synem. Oni mu nic o tém nie powiedzieli, żo go niejako tylko jako znajdka przyjęli; nie miał też żadnéj sposobności dowiedzieć się o tém. Bo gdy ledwo miał parę lat i mówić zaczął, odziedziczył pan Blank piękny dom ze znacznym handlem w mieście Kolonii, i tam się wyprowadził, a swój folwark, na którym dotąd był mieszkał, wypuścił w dzierżawę. Wszyscy w całém mieście myśleli, iż mały Daniel był synem pana Blanka. W saméj rzeczy też pan Blank nim jeszcze do Kolonii przybył, już sądownie Daniela za syna przyjął, swoje imię mu nadał, i większą część swego znacznego majątku mu przeznaczył i zapisał — a Daniel okazywał się godnym tego dobrodziejstwa i czynił nowym swym rodzicom honor i wiele radości.

5. Pudel się nanowo dobrze zachował.

Gdy młody Blank, jak go powszechnie w całém mieście nazywano, czternasty rok

skończył, nie małą już pomoc czynił w handlu. Bardzo wiele pięknych listów handlowych pisywał swoją ręką, które jego nowy rodzic tylko podpisywał; nawet ustne zlecenia, które mu pan Blank powierzał, wykonywał jak najściśléj.

Pewnego dnia posłał go też pan Blank nad wieczorem na Amt cłowy nad rzeką Renem leżący, aby tam niektóre zapłaty uskutecznił. Ponieważ wieczór bardzo był przyjemny, cieszyło to Daniela niezmiernie, iż tak przyjemną przechadzkę około znacznéj części miasta mógł zrobić. Ubrał się, ponieważ bardzo gorąco było, w swój piękny ciemnozielony surdut kamlotowy, wsadził na głowę biały kapelusz, wziął swoję trzcinkę z złotą gałką i poszedł za miasto; wierny pudel, który jeszcze żył, i dosyć jeszcze był żwawy, szedł jak zwykle za nim.

Właśnie jak Daniel swój interess na rzeczonym amcie był ukończył, przypłynął statek, który Renem był przypłynął, i drugiego dnia znów daléj do Hollandyi miał płynąć. Podróżni wyszli ze statku na ląd i natychmiast obstąpiło ich mnóstwo chłopców i wyrobników, aby podróżnych do oberżów i gościńców miasta zaprowadzić, i tłomoczki im zanieść. Na ostatku zapytał się też jeszcze chłopiec jednego człowieka, który w saméj rzeczy porządnie, ale trochę biednie był ubrany, w któréj oberży zechce przenocować. „Ja na statku przenocuję, rzekł ów człowiek, w oberży przenocować byłoby mi za drogo, moję kola-

cyą, kawał czarnego chleba, mam w torbie, a świeżéj jędrnéj wody dostarczy mi pierwsza lepsza studnia, albo rzeka w obfitości.“

Litość zdjęła serce Daniela nad tym biednym człowiekiem, który mu się zdawał być poczciwym i szczerym człowiekiem, zbliżył się więc z nieśmiałością do niego i rzekł zarumieniwszy się trochę na twarzy: „Gdybyś mi Pan tego niemiał za złe, dałbym Mu parę groszy na kieliszek wina. Wino dla podróżnego zawsze jest lepsze i zdrowsze, niż woda, a szczególnie rzeczna.“

„Mój kochany Paniczu, rzekł podróżny człowiek, nie jestem wprawdzie zwyczajny przyjmować jałmużny. Lecz kiedy mi ją Panicz z taką uprzejmością i z takiém dobrém sercem ofiarujesz, niepodobno, abym téj łaski przyjąć nie miał. Jest to pierwszy raz w mojém życiu, iż jałmużnę przyjmuję. Niech Pan Bóg Paniczowi pobłogosławi za ten dar miły!“

Gdy się Daniel do tego podróżnego przybliżał, był pudel do rzeki poleciał, aby swoje pragnienie ugasić, i przyleciał właśnie w tym momencie, jak Daniel chciał odchodzić, — i oraz skoczył na podróżnego człowieka i szczekał żywo i wesoło, i taką okazywał nadzwyczajną radość, jak gdyby był zmysły stracił. Z podziwieniem zawołał obcy: „Ach Obal tyś to? Znajduję cię przecież po tylu latach? Zkądżeś się ty tu wziął.“

Daniel rzekł: „Zdaje się, że nasz pies

Pana dobrze zna. Może do Pana kiedyś należał.“

„Tak jest, rzekł podróżny; jam myślał, iż mój wierny Obal już przed trzynastu latami, gdy mi Ren mój dom zabrał, w potokach się utopił, Nie spodziewałem się nigdy, jeszcze raz go ujrzéć. Ach mój Boże, dodał jeszcze, ocierając sobie oczy z łez, jam wtenczas jeszcze daleko większą poniósł stratę, któréj na tym świecie już nigdy nie powetuję!“

Daniel zapytał go się, jaka to szkoda była. Obcy opowiedział mu więc dokładnie, jak w owéj wielkiéj powodzi, którą doliny nad Renem nawiedzone zostały, téż i jego wioska niezmiernie wiele ucierpiała; jak się w nocy nagle przebudził, i jak się ze swoją żoną usiłowali, swoje dzieci z powodzi na suche miejsce powynosić, i pomimo największéj ostróżności jednak w ciemnéj nocy i zamieszaniu, najmłodsze dziecko w kolebce w niebezpiecznym domu zapomnieli i na nieszczęście to zapóźno spostrzegli, jak ta biedna dziecina, bardzo miły chłopyszek, od upadającego domu w wodzie zagrzebaną została, i że o niéj już nigdy nic nie widzieli ani nie słyszeli. Dobremu Danielowi stanęły łzy w oczach, taka litość nad nieszczęśliwym losem biednego dziecka serce jego przejęła, niewiedząc, iż on sam owym był dzieckiem, które opłakiwał. Pocieszał smutnego ojca, mówiąc, aby owe zdarzenie z rąk Wszechmocnego Boga cierpliwie znosił, który wszystko ku naszemu dobremu kieruje, i podał mu na

pożegnanie rękę, ponieważ już teraz do domu pospieszać potrzeba wymaga. Oddalił się kilka kroków, i wabił swego pudla za sobą; lecz wierne psisko nie chciało znalezionego dawnego pana swego opuścić. Tymczasem widocznie było, iż mu równie trudno i żal było, Daniela opuszczać. To raz doskakiwał do Daniala i zastępywał mu drogę, jak gdyby mu odchodzić zabraniał; to zaś drugi raz doskakiwał do swego dawniejszego pana. Gdy na koniec Daniel stanął, usiadł pies w równéj odległości między nimi na drodze, i nielitościwie skomląc wnet na tego, wnet na owego spoglądywał, jak gdyby ich chciał prosić, żeby się nie rozłączali, lecz aby się jeden drugiego trzymał. Gdy Daniel znów odchodził, psa ciągle wabił, znów pies to do tego, to do owego doskakiwał, i nie dał się od owego obcego człowieka odwabić To przesło pół godziny trwało, i zaczęło się już zmierzchać. Nareszcie rzekł Daniel: „Ja w saméj rzeczy nie wiem, co mam czynić. Jabym panu tego psa, lubo go bardzo lubię, chętnie odstąpił, ale on nie jest mój, on należy mojemu ojcu, kupcowi Blankowi. Pójdź Pan zemną, niech on rosztrzygnie, komu odtąd pies ma należéć.“

Poszli obaj społem, a pies radośném szczekaniem i swawolnemi susami okazywał ztąd swoję radość.

6. Znalezienie się i poznanie.

Pan Blank ze żoną swoją czekał z kolacyą za Danielem. Daniel wprowadził obcego na salę jadalną, na któréj się dwie świece woskowe paliły, które stały na stole, białym obrusem i śrebrem nakrytym. Pan Blank zaczął zaraz na Daniela łajać, że się tak długo bawił. Daniel opowiedział dziwne zdarzenie z psem, które mu razem za uniewinnienie swego długiego bawienia służyć miało. Pan Blank kazał dawnemu właścicielowi psa opowiedzieć, jakim sposobem swego psa utracił. Obcy opowiedział z widocznem poruszeniem serca, jak on w owym okropnym wylewie Renu nie tylko swego wiernego psa utracił, lecz także, nad czém jeszcze daleko więcéj ubolewa, i kochane dziecko, które jeszcze wtenczas w kolebce leżało. Panu Blankowi i żonie jego zaraz przyszło na myśl, iżby owo dziecko w kolebce mogło być od nich za własne dziecko przyjęty Daniel. Pan Blank, jako rozumny i wszystko dobrze rozważający kupiec chciał tymczasem tę rzecz jeszcze dokładniéj wyśledzić. Posłał więc Daniela do swego bióra, aby mu tam wyciąg zrobił z księgi rachunkowéj dla obcego kupca, który chcąc drugiego dnia rychło odjeżdżać, obrachunku żądał. Daniel poszedł do bióra,

a pan Blank wypytywał się obcego jak najdokładniéj o jego imię i nazwisko, miejsce zamieszkania, rok i dzień i wszystkie okoliczności owéj nieszczęśliwéj nocy. Powiedzże mi Pan, rzekł też do niego, czy nie miał pies wówczas naszyjnika na szyi?

„Tak jest, odpowiedział obcy, był z czerwonéj skóry i miał te trzy mosiężne litery: J. M. B. to jest, początkowe gloski mych imion i mego nazwiska, Jan Marcin Braun.“

A jak kolebka wyglądała, zapytała się pani Blank, w któréj wtenczas dziecko leżało?“

Była ona tylko z sosnowego drzewa, odpowiedział obcy; ale była bardzo pięknie czerwono i niebiesko pomalowana, prawie tak pięknie, jak czerwony kąkól i modrak w zbożu.“

Pan Blank ze żoną swoją wpatrywali się jeszcze lepiéj w twarz obcego, i poznali w jego twarzy, pomimo zmarszczków, które kłopot i bieda przed czasem na niéj porobiły, wielkie podobieństwo z swoim wychowankiem.

Nie wątpię już wcale o tém, rzekł pan Blank; iż Pana syn, którego przed 13tu latami Ren jeko małe dziecię razem z kolebką zabrał, uszedł przed śmiercią w wodzie i jeszcze żyje.“

„Jakto? co Pan mówisz? zawołał z największém podziwieniem obcy. Ach dla Boga, gdzież jest? O zaprowadźcie mnie Państwo natychmiast do niego!“

Jużeś go Pan widział, rzekł Pan Blank; jest to właśnie ten młodzieniec, który tu Pan przyprowadził.“

Co Pan mówisz? zawołał obcy, ten piękny delikatny Panicz? Czy to podobno! Ach mój Boże! jak cudowne są wyroki i drogi Twoje! Spojrzał z złożonemi rękami ku niebu, długo milczał i zaczął potém rzewno płakać. Nareszcie zapytał się: „Jakże on został ocalony? Jakim sposobem dostał się do tego domu i w takie szczęśliwe stósunki? Pan Blank opowiedział mu kruciutenko, jak wierność psa przyczyną się stała wyratowania dziecka.

„My delikatne dziecię za nasze własne przyjęli, dodał jeszcze pan Blank, i staraliśmy się o jego wychowanie. On się zawsze bardzo dobrze zachowywał, i już nam bardzo wiele radości zrobił. Panieważ my jego imienia nie znali, daliśmy mu imię Daniela. Nie daliśmy mu tego poznać, że tylko naszym jest wychowańcem, i on nas więc ma za swoich pzawdziwych rodziców. Ja go na wyjaśnienie téj tajemnicy muszę przygotować, bo to dla niego jest rzecz największéj ważności, i Panu potrzebne jest wytchnienie. Słyszę, że Daniel powraca! Wstąp Pan tymczasem do poblizkiego pokoju.“

Chętnie to uczynię, rzekł wielce uradowany ojciec; jest mi bardzo przyjemnie, że znajdę samotne miejsce, iż Panu Bogu za niewypowiedzianą radość, którą mnie obdarzył, będę na kolanach mógł podziękować.“

Daniel z wygotowanym rachunkiem wstąpił na salę, a gdy obcego człowieka już nie zastał i tylko pudla ujrzał, rzekł: „Jakże, mój Ojcze, czyś zaspokoił tego człowieka?“ „Mój Danielku, rzekł pan Blank, usiądź tu tylko przy mnie; mam z Tobą coś do pomówienia.“ Po kilku słowach, które na wstęp powiedział, rzekł do niego: „Ja i moja żona, coś nas dotąd ojcem i matką nazywał, nie jesteśmy twymi rodzicami.“

Daniel niezmiernie się zatrworzył, gdy te słowa usłyszał; cały stężał jak kamień, i długo nie mógł ani słowa wymówić. Nakoniec rzekł: „O moi najukochańsi dobrodziejowie, jak niezmiernie wiele dobregoście mi wyświadczyli! Jak niewymowna była Wasza miłość dla mnie i tém większéj wdzięczności godna, gdy ja tylko Waszém przysposobioném dzieckiem jestem! Póki żyć będę, będę Wam za to wdzięczny! Czemużeście mi o tém nigdy nic nie powiedzieli, i dopiéro teraz mnie z tą tajemnicą obznajmujecie? Przecież mnie od siebie oddalić nie chcecie?“

„Pewno że nie, rzekł pan Blank; słuchaj tylko daléj. Ty jesteś owém dzieckiem, które z rzeki Renu wyratowano, a ów obcy człowiek, któregoś przy rzece natrafił, jest Twoim ojcem.“

„Ten jest moim ojcem? zawołał z podziwieniem Daniel; on mi się zdaje być bardzo dobrym i poczciwym człowiekiem!“

Pan Blank rzekł, aby Daniela podbadnąć i doświadczyć: „Być może! Ale on

jest bardzo ubogim, a Ty z naszéj staranności jesteś bogatym. Ty go nie potrzebujesz. Małoby Ci też w swojéj lichéj odzieży honoru robił. Dałem mu więc kilkadziesiąt talarów i kazałem mu sobie iść do domu.“

„Ach méj Boże! zawołał Daniel, zerwawszy się z krzesła, przecię mu się nie kazałeś już wrócić na statek! O pozwólcie mi natychmiast za nim pójść! Muszę jego ojcowską twarz jeszcze raz oglądać, i przy jego piersiach płakać! — Ale może to tylko były żarty, coś Ojcze powiedział. Chociażby mój ojciec był najbiedniejszym i najnieszczęśliwszym człowiekiem na świecie, byłby jednak moim ojcem. Jabym go się nie wstydził, wszystko, co mam, chciałbym chętnie z nim podzielić.“

Ojciec Daniela, gdy drzwi przyległego pokoju były trochę uchylone, i Daniel głośno i wyraźnie mówił, był ostatnie słowa usłyszał i zrozumiał. Wszedł na salą i bieżąc do Daniela zawołał: „O mój drogi synu!“ A Daniel zawołał: „O mój najdroższy Ojcze!“ Obaj się serdecznie uścisnęli, a słodkie łzy radości im z oczu płynęły.

7. Dobroczynność i wdzięczność.

Pani Blank rozkazała, aby jeszcze dla jednéj osoby przysposobiono do stołu, i zapro-

siła ojca Daniela na kolacyą. Przy stole pan Blank żywo rozmawiał z Marcinem, i cieszył się, że w swoim gościu bardzo rozsądnego i poczciwego człowieka poznał. Tak go się też zapytał, co go do tak dalekiéj podróży spowodowało? Marcin mu opowiedział, że w Hollandyi mała puścizna na niego spadła, że się istotnie w drodze tam dotąd znajduje, aby ją odebrać. „Przed ową nieszczęśliwą powodzią, rzekł Marcin, byłem w dosyć dobrym stanie. Lecz owe nieszczęście mnie prawie do szczętu zniszczyło. Musiałem dom i obory z gruntu nowe wybudować, i sprzęty domowe, bydło i do chodowania wina i do bielenia potrzebne statki na nowo kupić. Przez to, jak inaczéj być nie mogło, narobiłem długów. Następujące dwa lata były dla mnie bardzo niepomyślne, ponieważ moja winnica w przykréj i tęgiéj zimie bardzo uszkodzoną została. I następne lata były dla wina bardzo niepomyślne. Dla tego przy mojéj największéj pilności i najściślejszéj oszczędności nie mogłem się długów pozbyć. Wiadomość o spadku, który kilkaset złotych wynosi, wielce mnie ucieszyła. Robili mi jednak wielkie trudności z wypłaceniem. Postanowiłem więc osobiście się tam udać, aby tę rzecz przyspieszyć. Czy pieniądze dostanę, tego nie wiem.“

„Zapewno Pan wziąłeś potrzebne papiery ze sobą?“ zapytał się pan Blank Marcina.

„To się rozumié!“ odpowiedział Marcin, wyciągając pulares z kieszeni, i podając

swoje papiery panu Blankowi. Pan Blank prędko je przejrzał, znalazł je w porządku, ale poznał że rzecz jeszcze dosyć wątpliwa była, czy Marcin ze swojemi pretensyami przejdzie, i że mu przynajmniéj jeszcze wiele od téj sumy odciągną. Można było przewidzieć, gdy się od niéj wszystkie koszta sądowe podróży i pobytu jego w Hollandyi odtrącą. Lecz pan Blank, który równie tak był szlachetnym jak bogatym, rzekł: „Wiesz co, mój Przyjacielu! Podróż do Hollandyi będzie dla Pana bardzo uciążliwa, musiałbyś się tam bardzo długo zabawić. Ja więc Panu całą tę sumę wypłacę; dasz mi tylko plenipotencyą, że tamtę summę odebrać mogę, a ja tę rzecz zlécę mojemu plenipotentowi w Amsterdamie, żeby tam pieniądze odebrał.

Marcin się z téj propozycyi bardzo ucieszył i przyjął ją z największą wdzięcznością, lubo całéj wielkości dobrodziejstwa wcale nie pojmował, i nie wiedział, że mu pan Blank większą część téj summy oczywiście podarował.

Pani Blank, która równie tak ludzka i dobroczynna była, jak jéj mąż, dowiadywała się teraz uprzejmie o żonie Marcina i jego dzieciach, mówiąc: „Kiedy już Pan do Hollandyi nie pojedziesz, to się u nas kilka dni zabawić możesz. Daniel potém Pana musi do domu odprowadzić i tam przez niejaki czas u Was zabawić. Gdy tak szczęśliwy był, swego kochanego ojca znaleść, to też swoję kochaną matkę osobiście poznać musi. I swoje rodzeństwo zobaczyć i

poznać, będzie mu miło i przyjemnie. Wystaramy się dla Pana o okazyą, iż będziesz mógł bezpiecznie i szczęśliwie z nalezionym synem do domu powrócić.“

Marcin się na tyle łaskawości od radości pojąć nie mógł, i po kilka razy zapewniał, iż w całém życiu swojém jeczcze tak dobrego Państwa nie widział. Prawie ciągle zalane miał oczy łzami, często powtarzał te słowa: „Ja Panu Bogu nie mogę dosyć dziękować, że mego kochanego syna tak łaskawie od śmierci wybawił, do tak szlachetnych ludzi zaprowadził, którzy go tak dobrze wychowali, i że go znowu tak cudownym sposobem znalazłem.“

Daniel prawie ciągle się na swego ojca zapatrywał, który bardzo wesoły i kontenty był. Radby też był chciał coś więcéj o swojéj kochanéj matce usłyszéć, jak o niéj w rozmowach była wzmianka. Ale tak długo, jak pan Blank z takim interessem z ojcem rozmawiał, milczał skromnie. Teraz prosił swego ojca, aby jeszcze coś więcéj o matce, braciach i siostrach opowiadał; szczególniéj był bardzo wymowny opowiadając o pobożności, pilności, pokorze, oszczędności i innych cnotach domowych swojéj żony. Z największém upodobaniem opowiadał także o dobrém zachowywaniu się swoich synów i swoich córek; końca znaleść nie mógł dla swoich pochwał, jakie to wyborne przymioty jego dzieci miały, jaką pobożnością i jakiém uszanowaniem dla rodziców i posłuszeństwem przejęte były; jak pracowitemi, obyczajnemi i skromnemi

się zawsze okazują. Wszyscy mu się z upodobaniem przysłuchywali; szczerość i czułość, z jakiemi mówił, przekonywały ich o prawdzie jego mowy, i że on sam bardzo dobrym być musi małżonkiem i bardzo miłym ojcem i że w jego domu zgoda i jedność wszystkich uszczęśliwiają.

Daniel z tych wszystkich pochwał ojca niezmiernie się cieszył, i za największe sobie uważał szczęście, że swoję matkę i swoje rodzeństwo wnet miał poznać.

„Rzekł więc, gdy o bliskiéj podróży mowa była, to téż mojéj kochanéj Matce i mojemu rodzeństwu co na podarunek kupić muszę! Dobrze, iż moja kassa dobrze jest zaopatrzona; zamyślam rozmaitych rzeczy dla nich nakupić, gdybym tylko wiedział, coby ich ucieszyło.“

„Ja Ci pomogę kupować, rzekła pani Blank, i będę Cię prosiła, iż téż odemnie parę podaruneczków dla nich zabierzesz.“

„To pięknie, rzekł pan Blank, a ja téż moję część dodam.“

Drugiego dnia przed południem poszła pani Blank z Danielem do kupca i nakupali dla ojca Daniela i dla jego dwóch braci cienkiego sukna, a dla jego matki i jego siostr pięknych perkalików na suknie i jeszcze wiele innych rzeczy, które im mogły być pożyteczne. Kupczyk miał co dźwigać, gdy wszystko za nimi do domu odnosił, i nawet Daniel miał w każdéj ręce paczkę. Gdy do domu przyszli, i pani Blank wszystkie te piękne podarunki na długim rozłożyła stole, niezmiernie się ojciec Daniela zadziwił. Pani Blank cieszyła się z jego

zadumienia, a wskazując palcem na wielką sztukę cienkiego sukna ciemno-zielonego rzekła: „To sukno Daniel swojemu kochanemu ojcu na prezent kupił. Weź je sobie tylko Pan zaraz! Od roboty ja zapłacę; krawca już kazałam zawołać. A tak dostał ojciec Daniela, lubo jego odzież jeszcze bardzo chędoga była, ale już bardzo wytarta, cały nowy ubiór. Nie mógł wyrazów dobrać, aby niemi wdzięczność, która jego całe serce napełniała, wyrazić. Wszystko co powiedział, zdawało mu się być za mało powiedziano. Lecz pan Blank rzekł: „Bardzo dobrze! Na coby Pan Bóg niektórym ludziom więcéj majątku dawał, jak potrzebują, gdyby mniéj mającym z niego udzielać nie chcieli? Bogaci, gdyby się tylko na rzeczy znali, mogliby daleko większą z dobroczynności mieć radość jak z tysiącznych innych rzeczy, które sobie za pieniądze kupić można. Nauczyliby się z własnego doświadczenia, jak prawdziwe są słowa naszego Zbawiciela: „Lepiéj dawać, niż brać.“

8. Radość nad radość.

Pewny znajomy przyjaciel pana Blanka, który w interessie handlowym do miasta

Moguncyi jechać musiał, dobrowolnie się ofiarował, Daniela i ojca jego aż do tego miasta ze sobą zabrać. „To dobrze, rzekł pan Blank; ztamtąd możecie potém pocztą do domu zajechać; ja za was pocztę zapłacę.“ Pojechali, a wierny pudel towarzyszył im; czasem siedział też poważnie ze stangretem na koźle. Daniel wyszukał jego stary naszyjnik, i kazał go piękną czerwoną skórą pociągnąć, a obicie i owe trzy litery: J. M. B. w ogniu pozłocić. „Ten wierny pudel, rzekł Daniel, na to sobie zasłużył.“

Gdy się Marcin z Danielem do swego pomieszkania zbliżał, i białe płótno już z daleka na bieliniku między zielonemi krzakami widać było, poznał pies okolicę, i poleciał z uciechą naprzód. Otylia właśnie ze swojemi córkami polewała płótno na bielniku; synowie w winnicy pracowali. Pies poleciał do Otylii, swojéj dawniejszéj pani i radośnie przed nią wyskakiwał i szczekał. Otylia nie mało się zdumiała, zkąd się oraz pies wziął, którego od owéj powodzi przez tyle lat widać nie było, i że ją jeszcze znał. Najstarsza córka przypominała sobie psa jeszcze dobrze; lecz pies jéj już nie znał. Synowie którzy radośne susy psa z winnéj góry ujrzeli, zeszli na dół, a starszy syn Grzegórz prawie się gniewał, że go jego stary towarzysz Obal, którego niegdyś tak mocno żałował, teraz w cale znać nie chciał. Gdy się wszyscy, matka, córki i synowie z tak niespodziewanego przybycia psa wydziwić nie mogli, usłyszeli wesoły głos trąby

pocztarskiéj; konie, zręcznie od pocztarka kierowane, czwałem leciały przez wieś, i stanęły przed domem Marcina. „A to co? rzekła Otylia, a cóż tam znów nowego? Cóż powóz u nas szuka? Zapewno się pocztarek omylił?“ Poszła do powozu; najprzód Marcin wyszedł z powozu. Przywitała go mile, ale natychmiast zadziwiona rzekła: „Ale dla Boga, mój Marcinku, powiedzże mi, co to ma znaczyć? Extrapocztą jechać — a, cóż dopiero teraz widzę, od głowy do stopy nowo się przyodziałeś — nie, to za nadto! I nawet Obal, któregoś gdzieś wyszpérał i może drogo zapłacił, ma paradny nowy naszyjnik z Twojemi cyframi. W saméj rzeczy, jam Cię dotąd za lepszego gospodorza uważała. Obawiam się, że Ci ta mała puścizna głowę zawróciła. Jeżeli tak rozpustnie żyć poczniesz, to te parę talarów nie długo trwać będą.“

Marcin uśmiechając się, rzekł: „Tylko się nie gniewaj, moja Otylio! Pozwól, aż tylko wszystko wypakuję! Będziesz widziała, że do pieniędzy grosza nie braknie.“ Otworzył kuferek, który pocztarek właśnie był wniósł do pokoju, wyjął czężki wór z pieniędzmi, i wysypał je na stół. „Ach dla Boga, tyle pieniędzy razem, jeszcze w mojém życiu nie widziałam! Mnie się w oczach ćmi, i jest mi jak we śnie. Ale mi tylko powiedz, zkąd Ty masz Twój nowy przyodziewiek?

To jeszcze nie wszystko, rzekł Marcin; i Ty i dzieci macie się nowo przyodziać.“ Wyłożył więc wszystkie piękne perkaliki,

trochę ciemniejszy dla matki, a jaśniejszy dla córki, i batyst perkal i koronki i bawełniczki; wyłożył potém z kuferka sukno na całkowity ubiór dla synów, i do tego jeszcze wielki wałek cienkiego płótna. Stół był za mały do wszystkich tych rzeczy. Otylia rzekła: „Nie, to za wiele! Ja rozum stracę. Zkąd Ty masz tyle prześlicznych rzeczy?“

„Wszystko to, rzekł Marcin, wskazując na Daniela, przynosi Wam mój towarzysz.“

9. Szczęśliwość dobrych rodziców i dobrych dzieci.

Daniel był skromnie na boku stanął. Matka z dziećmi ledwo go w radości spostrzegli, albo przynajmniéj mało na niego uważali. Ale on się serdecznie cieszył z radości matki i swego rodzeństwa, którzy wszyscy zdrowo i dobrze wypatrywali. Matka, która dotąd na tyle rzeczy się przypatrywać musiała, przypatrzyła mu się dopiero teraz dobrze i rze-

kła: „Ten delikatny Panicz tu, mówisz, wszystkie te piękne rzeczy nam przyniósł? Niepodobno! A któż on to jest?“

Marcin podniósłszy swoje oczy ku niebu i ręce pobożnie złożywszy, rzekł poważnym głosem i z natchnieniem: „Słuchajcie, podziwiajcie i uwielbiajcie świętą opatrzność Boską.“ Żona i dzieci taką radością napełnieni byli, iż ich największą radością, która ich jeszcze czekała, bezpiecznie obznajomić mógł. „Oto ten miły, przyjemny panicz, kochana Otylio! rzekł Marcin, jest Twój syn Kasper — owo dziecko, o któreśmy mniemali, że się w owéj wielkiéj powodzi utopiło. Bogaty kupiec, szlachetny mąż, przyjął go za wychowańca i swoje dziecko, a Kasperek, albo jak go teraz zowią, Daniel, jest teraz w stanie nas z naszéj biedy wybawić!“

Potém opowiedział Marcin, jak kolebka z dzieckiem daleko z wodą popłynęła, jak za kolebką pies płynął i dziecko z wody lubo nadaremnie, wyratować usiłował; ale jak wierność psa uwagę ludzi nad brzegiem rzeki będących na kolebkę i dziecko zwróciła, i przyczyną się stała jego wyratowania,

Ale co ja o psie mówię, rzekł Marcin, lubo mnie jego wierność zadumieniem napełnia! Pan Bóg bez którego wiedzy wróbel z dachu nie spadnie, dziecko wyratował! Pan Bóg podług swojéj niezgłębionéj mądrości, która się na wszystko rozciąga, użył tego stworzenia do ratowania naszego dziecka. Jego więc, jako na-

szego najlepszego i najmiłosierniejszego Ojca chwalmy, uwielbiajmy i adorujmy: Jemu dziękujmy! — Ojciec, matka, dzieci i pocztarek, który jeszcze za podarunkiem czekał, wszyscy pobudzeni do pobożnych uczuć, wznieśli łzami zalane oczy ku Niebu.

Ale Daniel już się dłużéj utrzymać nie mógł. Z płaczem obłapił matkę za szyję, a matka najsłodsze wylewając łzy radości, przytuliła go do serca swego. Powitał się potém i z braćmi i siostrami. Szczęśliwość jaką przejęci byli w téj chwili rodzice i dzieci, jest niepojęta, i nie daje się żadnym językiem wysłowić.

Z początku bracia i siostry Daniela byli cokolwiek nieśmiali do niego; zdawał im się być za wielkim panem, aby zaraz mogli z nim tak poufale, jak ze swoimi równymi rozmawiać. Ani podobno do wierzenia im się się zdawało, aby on ich bratem miał być. W saméj rzeczy téż między nim a jego rodzeństwem, gdy się między nimi uwijał, wielką widać było różnicę. Jego wytworny ubiór podług zwyczaju bogatych miejszczanów, jego biała i czerwona twarz, gdyby białe i czerwone róże, jego czysta, delikatna mowa, zgrabność i przystojność całego ruchu jego, niezmiernie się odbijały od ich wiejskich ubiorów, od ich brunatnych twarzów: od ich wiejskiéj wymowy, wiejskich obyczajów i zbyt wielkiéj grzeczności. Ale gdy ujrzeli, że był bez najmniejszéj dumy, bez wszelkiéj pretensyi, pokornego serca, miły i uprzejmy, nabrali wnet wszyscy serca do niego, i tak poufale

z nim rozmawiali, jak gdyby się razem z nim byli wychowali. Poszli z nim na łąkę, na winną górę i w pobliskie okolice. Pokazywali mu wszystko, cokolwiek życie wiejskie ma przyjemnego i powabnego. Był się wprawdzie wiele nauczył, i o wielu rzeczach rozmawiać umiał, o których oni nic nie wiedzieli. Jako mieszczanin, który rzadko z miasta za bramę wyjdzie, ledwo rozmaite gatunki zboża rozróżnić i nazwać umiał, ale oni prawie każdy kwiatek w polu nazwać umieli. Przechodzili koło pola lnem zasianego, a on ich się zapytał, na co ludzie tyle niebieskich kwiateczków sieją, i na co one im się przydają. Jak on się już wprzód dla ich niewiadomości często uśmiechał, tak oni teraz, nie mając wyobrażenia o przystojności, na głos się z niego śmiać zaczęli. Ale skoro spostrzegli, że od wstydu raczka upiekł, natychmiast się śmiać przestali, a obie siostry opowiedziały mu obszernie wszystkie zatrudnienia, które koło lnu podjąć trzeba od siemienia, które w ziemię rzucają, aż do cienkiéj przędzy, z któréj się piękne białe płótno i cienkie koronki robią, których im z miasta naprzywoził. Widzęć ja, rzekł Daniel, że i Wy wiele rzeczy znacie i umiecie, których ja nie wiem! Ale inaczéj być nic może. Każdy człowiek musi się tego uczyć, co mu do jego powołania i stanu koniecznie jest potrzebném.“

„Dobrą uczyniłeś uwagę, rzekł ojciec; bo aczkolwiek różne odebraliśce wychowanie, to jednak u was wszystkich główna rzecz była taż sama — pobożność, pracowitość i

wierność w powołaniu, a te rzeczy są wszystkim ludziom wspólne i potrzebne, tak rónikowi za pługiem, jako kupcowi w mieście, uczonemu przy książce, i królowi na tronie.“

Pewnego dnia z rana wyszli rodzice z Danielem i z drugiemi dziećmi na ów pagórek za sosią, na którym podczas powodzi tak okropną noc przepędzili. Matka opowiedziała Danielowi, jaki okropny strach o niego miała i o niego narzekała, i jakie powszechne narzekanie wszystkich nastąpiło na tym pagórku, gdy okropne spustoszenie miłéj wioski ujrzeli.

„Chwała Panu Bogu, rzekł ojciec, za pomocą Boską już znów jest wybudowana, a do tego jeszcze piękniéj i mocniéj, jak przedtém. Już wtenczas powiedziałem, że to wielkie nieszczęście na koniec dla nas wszystkich stanie się błogosławieństwem! A tak się też stało. Ludzie w naszéj wiosce i nawet w całéj okolicy przez to nieszczęście pobudzeni zostali do gorliwszéj modlitwy i mocniejszego zaufania w Panu Bogu; poznali lepiéj swoję zawisłość od Boga i jakie Mu winni posłuszeństwo. Ich pracowitość, która z powodu ich majętności powoli ustawać i zmniejszać się zaczęła, na nowo się ożywiła; i niektórzy, co się dla swego bogactwa i dostatku zaczęli dumą unosić i rozpustnie żyć, stali się od owego czasu pokorniejszymi, oszczędniejszymi i mierniejszymi. Pan Bóg też wiele dobroczynnych serc pobudził, które się nad nami miłościwie zlitowały, jak nam naprzy-

kład zaraz nazajutrz po owéj okropnéj nocy wiele ludzi z okolicy przyszło na pómoc. Mógłbym o tém wiele pięknych czynów opowiedzieć. Tak też od tego dnia między mieszkańcami naszéj wioski więcéj było zgody i miłości, jak dawniéj; kłótnie poustawały i wszyscy skłonili się do zgody: wszyscy sobie wiernie w powszechnéj niedoli pomagali. A jak dobrze szczególniéj Pan Bóg nami rozrządził! Któżby się wówczas był spodziewał, iż nasze kochane dziecko, które za utopione uważaliśmy, jeszcze kiedykolwiek, a do tego jeszcze w tak szczęśliwych stósunkach ujrzemy? Jakżebyśmy w owéj okropnéj nocy tylko pomyśléć byli mogli, iż tu niegdyś na tym pagórku taki wesoły poranek miéć będziemy? Ale pan Bóg już wtedy naszę radość przewidywał i dla nas przysposabiał, którą tu dziś wszyscy przejęci jesteśmy. Dla tego zawsze mówię: „Tylko serca tracić nietrzeba, aczkolwiek nam się niepomyślnie wiedzie: z pewnością przyjdzie znów czas, gdzie nam się lepiéj powodzić będzie. Pan Bóg nakoniec wszystko dobrze czyni, jeżeli nie w tém, to w przyszłém życiu.“

Późniéj zrobił pan Blank dobrego Marcina, o którego uczciwości i biegłości w chodowaniu wina się dokładnie był przekonał, rządzcą i dozórcą nad swoją znaczną górą winną, gdzie wtenczas mieszkał, jak Daniela z Renu wyratowali. Marcin oddał całą swoję majętność z domem, winnicą i blichę swojemu najstarszemu synowi, i przeprowadził się z żoną i dziećmi na fol-

wark, którego zarząd mu Pan Blank zlecił. Daniel, któremu pan Blank swój handel odstąpił, uzyskał przez to sposobność, całe swoje rodzeństwo jak najlepiéj wyposarzyć, co też szczerze wykonał. Marcin z Otylią, którzy się bardzo zestarzeli, często pobożnie mawiali: „Dobrotliwy Pan Bóg nietylko nasze dziecko z wody wyratował, ale on nadto jeszcze naszym wszystkim dzieciom największe dobrodziejstwo wyświadczył. Bo my biedni rodzice, chociażby nas to nieszczęście nie było spotkało, nie wielebyśmy im byli dać mogli. Lecz teraz są wszyscy jak najlepiéj wyposarzeni. Pan Bóg dobrotliwy jest wybawicielem od wszystkiego złego i nieszczęścia.“

Doczekali się na swych dzieciach wiele radości, i doznawali od nich pomocy aż do szczęśliwego zgonu swego. I pan Blank ze swoją małżonką znaleźli w Danielu dobrego syna, który im podporą i pociechą był w starości. Takim sposobem wszyscy mieli korzyść z owoców dobrego wychowania.

761/3117

75.-

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA w KIELCACH
BIBLIOTEKA
80806

TORUŃ.

Ernest Lambeck.